

Cara Colter

Przystań dla serca
(A Babe in the Woods)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Shauna Taylor, przez braci pieszczotliwie nazywana Storni, siedziała na ganku swojego domku w Górach Nadbrzeżnych. Od kilku minut miała wrażenie, że jest obserwowana, lecz nie przestała niedbale bujać się w fotelu na biegunach. W zasięgu ręki miała dubeltówkę, dającą poczucie bezpieczeństwa.

Podjeżdżała, że za drzewami przystanęło jakieś zwierzę, które zaraz pójdzie dalej. Takie sytuacje zdarzały się często. Co innego obecność człowieka. Domek stał daleko od najbliższej siedziby ludzkiej i przebywając tu, Storm była przekonana, że jest sama, aż nagle doznawała uczucia, iż ktoś lub coś na nią patrzy. Czasem udawało się jej dostrzec leśnego gościa; zdarzało się, że był to jeleni lub nawet niedźwiedź. Podobne odwiedziny były rzadkie i niegroźne, ponieważ zwierzęta spokojnie zawracały i szły swoją drogą.

Za domkiem rozległo się głośnie rżenie, jakby ulubiony koń chciał dodać otuchy swojej pani. Poza tym na polanie panowała cisza, co chwilę przerywana radosnym śpiewem ptaków. Od strony gór czuć było chłodne, orzeźwiające podmuchy wiatru. Zaczynała zielenić się trawa i w powietrzu wyczuwało się już wiosnę.

Naokoło wszystko wyglądało normalnie, a mimo to Storm nie mogła oprzeć się niemiłemu wrażeniu, że nie jest sama.

Zjeżyły się jej włosy, więc intuicyjnie wiedziała, że tym razem nie chodzi o przyczajone zwierzę. Powoli, jakby przeciągając się, uniosła ręce nad głowę i opuściła je. Dotknęła śrutówki, zacisnęła palce i bez pośpiechu położyła ją na kolanach.

– Nie lubię podglądaczy, więc radzę wyjść z ukrycia. – zawołała.

Cisza.

Domek znajdował się na położonej wysoko w górach polanie, do której można było się dostać jedynie pieszo lub konno. Storm jeszcze nie zdążyła się rozpakować, gdyż przed zapadnięciem

zmroku chciała obejść cały teren i posiedzieć na ganku. Oczami wyobraźni przebiegła całą trasę, lecz nie przypominała sobie nic szczególnego. Niedawno przeszła tędy wichura i miejscami droga była zawałona drzewami, ale innych zmian nie było. Jake, starszy brat, prosił, by wstrzymała się z wyjazdem i poczekała na niego. Zapewniał, że w ciągu tygodnia upora się z najpilniejszymi obowiązkami i pojedzie z nią, aby pomóc przy najcięższych pracach.

Jake Taylor hodował ponad sto krów, z których wiele akurat się cielilo, więc Storm wątpiła w to, że za kilka dni brat będzie wolny. Nie bała się pracy, a bardzo nie lubiła czekać. I nie lubiła też, gdy ktoś robił za nią coś, co mogła zrobić sama.

Teraz pomyślała, że tym razem niezależność może ją drogo kosztować. Czuła zmęczenie, więc zastanawiała się, czy dlatego jest taka spięta.

Omiotła wzrokiem polanę przed domkiem, który w przybliżeniu fantazji nazwała „Przystań dla serca”. Przed rokiem wypaliła nazwę na deszczułce, którą przybiła do olbrzymiej sosny, rosnącej pośrodku klombu obsadzonego różnymi bylinami.

Widok kwiatów podziałał na nią uspokajająco, uznała więc, że się przesłyszała i rozluźniła palce. Przypominała sobie opinię drugiego brata. Evan często powtarzał z podziwem, że Storm jest jedyną znaną mu osobą, obdarzoną tak wielką intuicją.

Zastanawiała się czasem, czy doskonale rozwiniętej intuicji nie zawdzięcza temu, że dużo czasu spędza w samotności. Bardzo lubiła swe górskie ustronie; tutaj przez długie tygodnie jedynymi jej towarzyszami były konie, które porozumiewają się ze sobą bez słów.

Niewątpliwym wpływem na to miał też fakt, że wychowała się pod opieką dwóch dużo starszych braci, właścicieli olbrzymiego rancza w zachodniej prowincji Kanady, niedaleko jeziora Williams. Ich rodzice spłonęli podczas pożaru domu. Jake i Evan nie wiedzieli, jak wychowywać małą siostrę, więc pozwalali jej na prawie wszystko. Dzięki temu, że zostawili jej dużo swobody, w lasach i górach wokół rancza czuła się jakby była u siebie.

Na łonie natury zawsze miała wrażenie, że jest pod czyjąś opieką i teraz to uczucie też jej nie opuszczało. Była na znanym terenie, więc uważała, że poradzi sobie w każdej sytuacji.

Jedynym okresem w życiu, gdy czuła się niepewnie, były dwa lata spędzone na uniwersytecie w Edmonton. Po długich dyskusjach bracia postanowili, że pozwolą jej gospodarować z nimi, jeśli najpierw pozna inne życie i kawałek świata. Zgodziła się bez oporu, ponieważ miała ochotę poznać nowych ludzi i szeroki świat.

Miasto ją rozczarowało, dusiła się w tłoku. Nie mogła przyzwycząić się do tego, że stale trzeba uważać na pędzące samochody, wieczorem lepiej nie wychodzić z domu, a drzwi należy zamykać na klucz. Według niej nie było to prawdziwe życie.

Drgnęła, gdy rozległ się trzask gałązki. Pomyślała zirytowana, że człowiek już nigdzie nie może być sam, ponieważ myśliwi i turyści docierają wszędzie, nawet do tak odległych miejsc. Najbardziej złościło ją, że wędrowcy podchodzą ukradkiem. Fakt, iż ktoś czai się za drzewami, wywoływał dość duży niepokój. Między innymi dlatego, że raz w życiu zawiodła ją intuicja, gdy w Edmonton dała się zwieść pozorom: przystojnej twarzy i gładkim manierom.

Nie miała wątpliwości, że bracia wyśmialiby ją, gdyby wiedzieli, że ubierała się po kobiecemu i malowała. W Edmonton kupiła pierwszą w życiu spódnicę, za którą zapłaciła wygórowaną cenę, lecz zachwyty na twarzy Doriana sprawił, że nie żałowała wydanych pieniędzy.

Znowu usłyszała podejrzany dźwięk, więc otrząsnęła się ze wspomnień i wróciła do rzeczywistości. Nadstawiła uszu, przysunęła dubeltówkę i złożyła się do strzału, chociaż nie miała zamiaru celować w przypadkowego turystę, tylko dlatego że nie lubiła podchodów.

Jedyną osobą, jaką kiedykolwiek miała ochotę zastrzelić, był Dorian. Znienawidziła go, gdy dowiedziała się, że jest żonaty.

Teraz po namyśle uznała, że strzał w powietrze nikomu nie

wyrządzi krzywdy, natomiast jeśli istotnie ktoś ją obserwuje, nie zaszkodzi pokazać temu intruzowi, że umie obchodzić się z bronią.

Trrach! Masz, Dorianie.

Wymierzyła w niebo, a odgłos strzału odbił się od zboczy głośnym echem. Powoli włożyła drugi nabój, ponieważ wyglądało na to, że nie wystraszyła intruza, ukrywającego się za drzewami.

Ledwo echo przebrzmiało, do jej uszu dobiegło ciche kwilenie. Odłożyła dwururkę, zerwała się na równe nogi i zeszła po kamiennych schodkach. Pobiegnęła przez polanę w stronę nieoczekiwanego dźwięku. Nie miała wątpliwości, co to było. Nawet ona poznała płacz dziecka.

Gdy była w połowie polany, zza drzew wyszedł mężczyzna, więc stanęła jak wryta.

Nieznajomy był bardzo wysoki i potężnie zbudowany. Miał prawie dwa metry wzrostu, niezwykle szerokie ramiona, wąskie biodra i długie nogi. Spod podwiniętych rękawów koszuli widać było silne ręce, a pod rozchełstaną koszulą mocno owłosioną pierś.

Szedł pewnym krokiem, lecz przypominał panterę gotową w każdej chwili skoczyć. Sprawiał wrażenie człowieka, który potrafi walczyć z przyrodą, a po każdej walce staje się silniejszy i jeszcze lepiej potrafi sobie radzić z przeciwnościami.

Storm przyjrzała się twarzy, na której malowało się zdecydowanie i siła. Kości policzkowe były wystające, nos prosty, podbródek stanowczy, a w brodzie nieznaczny dołeczek. Gdyby nie mocno zaciśnięte usta, twarz byłaby urzekająca. Włosy miał krótkie, gładko zaczesane, ale zlepione potem. Na tle mocnej opalenizny szare oczy wyglądały jak woda w górskim potoku; patrzyły czujnie, kryło się w nich nie tylko wyczerpanie fizyczne, ale i znużenie.

Coś poruszyło się nad ramieniem wędrowca, więc Storm popatrzyła uważniej i dostrzegła małą główkę. Dziecko! Niemowlę miało czarne włoski i oczy, a na czerwonych policzkach ślady łez.

– Jest pani sama? – zmęczonym głosem spytał przybysz. Nie podobało się jej pytanie zadane przez człowieka, który długo obserwował ją z ukrycia. Podejrzewała, że gdyby nie strzeliła, wcale by nie wyszedł. Jego pytanie nie świadczyło o przyjaznych zamiarach.

– Nie – skłamała.

– Kto jest z panią?

– Nie pańska sprawa.

– Kto jest z panią? – powtórzył z uporem.

– Mój przyjaciel, Sam.

Było to imię jej ulubionego wierzchowca i naprawdę wiernego przyjaciela.

– Dlaczego przyjaciel nie wyszedł, gdy pani strzeliła? W oczach wędrowca na moment pojawiła się iskierka rozbawienia.

– A czemu pan wcześniej się nie pokazał?

– Bo bałem się, że mnie pani zastrzeli.

– Słusznie.

– Nie jest pani zbyt gościnna.

– Nie jesteśmy przyzwyczajeni do podobnych wizyt.

– Za to do strzelania jesteście, prawda? – Nieznajomemu drgnęły kąciuki ust. – Pani i Sam.

Powiedział to tonem, który świadczył o tym, iż domyślił się, że w domu nie ma mężczyzny.

– Zgadł pan. Właśnie dlatego nie wyszedł – rzekła z naciskiem.

– Przyzwyczał się, bo często muszę odstraszać intruzów.

Mężczyzna obrzucił uważnym spojrzeniem najpierw jej twarz i sylwetkę, a potem polanę i dom.

– Jest pani sama – orzekł.

Wiedziała, że nie warto udawać, ponieważ ten człowiek też ma doskonałą intuicję. Może nawet lepszą niż ona. Pomimo wyraźnego zmęczenia był czujny jak dzikie zwierzę, które wietrzy niebezpieczeństwo i szykuje się do ucieczki lub walki.

Przemknęła jej niepokojąca myśl, że nieznajomy jest ścigany, i ucieka przed bezwzględny przeciwnikiem. Zastanowiło ją, że sama czuje się bezpiecznie, ale przypomniła sobie, iż intuicja

zawodzi ją, gdy w grę wchodzi mężczyźni.

– Zabłądził pan? – spytała łagodniejszym tonem. Spojrzała na dziecko, które jedną rączką wczepiło się w jego ramię, a drugą we włosy. Ktoś inny skrzywiłby się lub starał wypłatać włosy z kurczowo zaciśniętej piąstki, lecz nieznajomy całą uwagę skupił na Storm. Jak gdyby bał się, że sięgnie po broń. Ludzie, którzy po prostu zabłądzili, na ogół nie są tak czujni. Byłoby lepiej, gdyby ten człowiek zabłądził, ponieważ wtedy powód zjawienia się u niej byłby jasny. Może dlatego jest sam, że szuka pomocy dla żony ze złamaną nogą?

Nie wyglądał jednak na człowieka, który zabłądził, lub na takiego, który z rodziną wędruje po górach. Dyskretnie zerknęła na jego rękę; nie miał ani obrączki, ani śladu po niej.

– Byłem tu przed laty i zapamiętałem ten domek – wyjaśnił przybysz. – Teraz też potrzebny mi dach nad głową.

Popatrzyła na niego zaskoczona. Kto to mógł być? Nie sprawiał wrażenia człowieka, który dla przyjemności zabiera w góry niemowlę. Czyżby kidnaper?

– Dlaczego akurat tutaj? I na jak długo?

– Tylko na kilka dni. Chyba nie odmówi mi pani gościny?

Odwoływał się do jej dobrego serca. Samotnemu mężczyźnie odmówiłaby bez wahania, ale czy można nie udzielić schronienia człowiekowi z małym dzieckiem?

Mężczyzna postąpił krok do przodu, a wtedy zobaczyła krew w miejscu, w którym stał.

– Jest pan ranny?

– Zadrasnąłem się.

Przyjrzała mu się uważniej i dostrzegła czerwone ślady na prawym boku; krew widocznie sączyła się z pleców. Obeszła go od tyłu, chociaż wiedziała, że nieznajomemu to się nie podoba. Rozumiała, że nie chce mieć nikogo za plecami.

Dziecko, mocno przywiązane rzemykami, siedziało w plecaku, nie przeznaczonym do noszenia niemowląt. Storm wprawnie rozplatała rzemyki i wzięła niemowlę na ręce. Gdyby była odrobinę wyższa, zobaczyłaby, co znajduje się w plecaku i

znalazłaby odpowiedź na pytania, których nie zadała. Niestety, nie była wyższa.

W nozdrza uderzył ją zapach krwi, więc obejrzała plecy mężczyzny i po prawej stronie nad biodrem zobaczyła dużą czerwoną plamę. Wystraszyła się, że przybysz ma ranę postrzałową i wymaga fachowej pomocy, a znajdowali się daleko od miejsca, gdzie zostawiła stary samochód, który nie zawsze potrafiła od razu uruchomić. Stamtąd jeszcze godzinę trzeba było jechać do maleńkiej osady Thunder Lake, w której mieszkał lekarz.

Nie rozumiała, dlaczego przyszło jej do głowy, że wędrowiec został postrzelony. Przecież mógł zranić się, gdy nieopatrznie nadział się na wystającą gałąź lub upadł na ostry kamień.

Niemowlę zaczęło gaworzyć i próbowało wsadzić palec do nosa Storm, co skutecznie odwróciło jej uwagę od mężczyzny. Nie patrzyła na niego, ale czuła jego obecność. Miała wrażenie nieuchwytnego porozumienia między nimi.

Pierwszy raz w życiu trzymała na ręku niemowlę, które wydało się jej zaskakująco ciężkie. W Thunder Lake dzieci rodziły się rzadko, a ona omijała je z daleka. Teraz zrozumiała, dlaczego tak postępowała. Otóż dziecko sprawiło, że od razu złagodniała.

– Chodźmy – powiedziała niepewnie i ruszyła przodem.

Gorączkowo zastanawiała się, jak należy postąpić. Latem przyjmowała wczasowiczów, ale mężczyzna z dzieckiem był niezwykle gościem. W dodatku ranny mężczyzna. Zauważyła ulgę, jaka odmalowała się na jego twarzy, gdy doszedł do wniosku, że jest sama. Pomyślała, że może to nie on jest w niebezpiecznej sytuacji, lecz ona: samotna kobieta na odludziu. Odchyliła głowę, aby dziecko nie włożyło jej palca w oko. Patrząc na jego pogodną buzię, nie mogła sobie wyobrazić żadnego zagrożenia.

Na ganku nieznajomy przystanął, ukradkiem wyjął z dubeltówki naboje i schował do kieszeni.

Domek był mały, ale przytulny. Na środku stał prosty drewniany stół, w prawym kącie stary piec, a po obu stronach

zlewu niezbyt starannie ociosane szafki kuchenne. Okno było tylko jedno, bardzo małe, z zazdrostką. Kiedyś, podczas robienia porządków, Storm przypięła do ramy dwa kawałki materiału w kratkę.

Z tego samego materiału była zasłona, oddzielająca część sypialną. Nieproszony gość bez pytania odsunął zasłonę i popatrzył na sześć piętrowych łóżek. Nikogo tam nie było, więc z jego twarzy całkowicie zniknęło napięcie. Zaskoczył Storm, gdy rzekł:

– Bardzo się tu zmieniło i teraz można przenocować tłum ludzi. Po co tyle miejsc do spania?

– Urządziliśmy ośrodek szkolenia wojska i lada chwila spodziewam się nadejścia oddziału.

– Pod wodzą Sama? – zapytał sarkastycznym tonem.

Zdjął plecak i obrzucił uważnym spojrzeniem całe pomieszczenie. Przez chwilę zatrzymał wzrok na bukietach kwiatów stojących w puszce na środku stołu. Storm nie chciała uchodzić za sentymentalną osóbkę, więc żałowała, że je tu przyniosła.

– Mogę obejrzyć ranę? – zapytała, aby odwrócić uwagę nieznajomego od kwiatów.

– Nie nazwałbym tego raną.

– Jak zwał, tak zwał... Zostawia pan ślady krwi na podłodze. – Przesunęła krzesło w jego stronę i poleciła: – Proszę usiąść.

Mężczyzna zrobił minę świadcząca o tym, że nie zwykł słuchać poleceń, a Storm pomyślała, że na pewno woli sam wydawać rozkazy. Mimo to usiadł, lekko się krzywiąc, i wziął ze stołu ulotkę, którą najchętniej wyrwałaby mu z ręki.

– Wczasy w siodle w Storm Mountains – przeczytał na głos. – Zapraszamy do oglądania pięknych widoków podczas jedno – lub kilkudniowych wycieczek konnych. Przyjmujemy najwyżej pięć osób, w okresie od połowy czerwca do połowy września. – Rzucił okiem na Storm i czytał dalej. – Grupy prowadzi wykwalifikowana przewodniczka, Storm Taylor. Storm? Co to za imię?

– Proszę pokazać mi ranę.

Nie dał się odwieść od czytania. Przewrócił kartkę i spojrział na zdjęcie z podpisem.

– Aha. Czyli pani Storm Taylor ze Storm Mountains przygotowuje się do otwarcia sezonu. Nie widzę żadnych rezerwacji. Czemu nie ma chętnych?

– Zakrwawił pan całe krzesło – syknęła gniewnie. – Niszczy mi pan meble.

Dziecko wydało dźwięk pośredni między miauczeniem kota a piskiem myszy.

– Pewno jest głodny – rzekł mężczyzna.

Storm przyjrzała się niemowlęciu. A więc to chłopiec, ma takie gęste czarne rzęsy! Był w niebieskich śpioszkach i skarpetkach. Machał rączkami, nóżkami i radośnie gaworzył. Wyglądał na pogodne dziecko, które spokojnie czeka, aż dorośli zechcą się nim zająć. Storm rozejrzała się, szukając miejsca, gdzie mogłaby położyć żywe zawiniątko. Najlepszy byłby blat stołu lub szafki, ale bała się, że niemowlę się sturla. Po namyśle posadziła je na podłodze.

Uwagę chłopca natychmiast przyciągnął kawałek nitki.

– Czy on już raczkuje? – zapytała.

– Nie.

Mężczyzna popatrzył na dziecko niepewnym wzrokiem, więc domyśliła się, że wcale nie jest tego pewien. Zdumiało ją, że ojciec nie wie, czy jego dziecko raczkuje. Zaczęła podejrzewać przybysza, że nic o nim nie wie, poza tym, jakiej jest płci.

Chłopiec najpierw próbował włożyć nitkę do ucha, potem do oka, a wreszcie wpakował ją do buzi.

Storm błyskawicznie przykleknęła i próbowała ją wyciągnąć, a wtedy niemowlę zacisnęło bezzębne dziąsła na jej palcu. Pomyślała zdziwiona, że wcale nie czuje wstrętu. Wstała i rozejrzała się. Zdjęła z łóżka śpiwór, rozłożyła na podłodze i posadziła dziecko. Miała nadzieję, że malec nie zsiusia się i nie zniszczy jedyne okrycia na noc.

Dziecko nachyliło się mocno do przodu i położyło na brzuszku,

a Storm odwróciła się do mężczyzny i powiedziała stanowczym tonem:

– Proszę zdjąć koszulę.

Na ustach nieznajomego przemknął cień uśmiechu.

– Nie wypada, przecież pani nie znam.

Ciekawa była, czy uśmiechem chciał ją udobruchać. Oczy miał poważne i obserwował każdy jej ruch.

– Pozostaniemy nieznajomymi, ale koszulę proszę zdjąć. Pociągnął koszulę i skrzywił się, gdy oderwał materiał od rany. Powoli rozpiął guziki i zdjął ją, a Storm przygryzła wargę, aby nie krzyknąć z zachwyty. Pierś przystojnego nieznajomego pokrywały gęste czarne włosy, a brązowa skóra wyglądała jak jedwab naciągnięty na mięśnie.

Odwróciła oczy, nie rozumiejąc, co się z nią dzieje. Pojawienie się tego człowieka budziło podejrzenia, więc powinna zachować zimną krew i przytomność umysłu, aby rozsądnie postąpić w niejasnej sytuacji. Zastanawiała się, co powinna zrobić. Opatrzeć ranę i kazać nieproszonemu gościowi iść dalej, czy opatrzyć ranę i wyjechać? Nie miała zamiaru przebywać z nim pod jednym dachem przez kilka dni, ale nie chciała mu tego mówić.

Przyniosła apteczkę i wyłożyła na stół bandaże, środki przeciwbólowe oraz watę.

Mężczyzna zmienił pozycję i usiadł na krześle okrakiem, aby ułatwić jej zadanie. Na widok jego szerokich nagich pleców poczuła lekki zawrót głowy. Znowu zachwycił ją kolor jego skóry; ciepły brąz zapraszał, by dotknąć go palcami.

Rana po zmyciu krwi wyglądała jak draśnięcie lub zadrapanie, ale głębokie, szerokie i poszarpane.

– Jak to się stało?

– Musiałem wyrąbać przejście przez gąszcz, siekiera wypadła mi z ręki i dziabnęła w plecy.

Brzmiało to dość prawdopodobnie, chociaż rana była w dziwnym miejscu, a jej brzegi poszarpane, więc nie wyglądały jak cięcie ostrzem siekiery. Storm podejrzewała, że to jednak rana postrzałowa, choć jak na taką, była trochę za płytka. Doszła do

wniosku, że nie warto zastanawiać się nad jej pochodzeniem.

– Którą drogą pan przyszedł? – zapytała lekko drżącym głosem.

– Od wschodu – odparł po chwili wahania.

– To trudna trasa.

Nie dodała, że znana niewielu ludziom. A więc nieznajomy przyszedł od najmniej uczęszczanej strony i dlatego nie widziała żadnych śladów na swojej trasie.

Starając się nie sprawić mu bólu, ostrożnie oczyściła ranę. Skóra w dotyku była taka, jak ją sobie wyobrażała: jedwab rozciągnięty na stali.

Chciała wydobyć ze swego nieoczekiwanego gościa jak najwięcej informacji, ale zadawała pytania jakby od niechcenia.

– Co skłoniło pana, żeby tamtędy iść? I to z dzieckiem na plecach?

– Jesteśmy na wakacjach.

– Na wakacjach? – powtórzyła.

Mężczyzna drgnął, więc uniosła głowę i zobaczyła, że patrzy na nią podejrzliwie. Odwróciła się i zabrała do przygotowania tradycyjnej mikstury na rany. Dopiero po dłuższej chwili spojrzała przez ramię i mruknęła:

– Tu nie ma warunków na wczasy z dziećmi.

– Dlaczego? Jest czyste powietrze, a w strumieniu pełno ryb. Co to za mazidło?

– Terpentyna z cukrem. Skutecznie zabija zarazki.

– Nie żartuje pani?

– Nafta też jest dobra, ale trzeba zachować ostrożność, bo często robią się pęcherze.

– Naprawdę?

– Sadze wymieszane ze smalcem są najlepsze, ale paskudnie brudzą.

Popisywała się znajomością ludowych recept z dwóch powodów: po pierwsze, aby odwrócić uwagę rannego od bólu, a po drugie, aby sprawić wrażenie naiwnej wieśniaczki, która bez zastrzeżeń ufa ludziom.

– Zęby zatamować krew, mój brat kładzie na rany pajęczynę,

ale ja wezmę bandaż.

– Czyżby brakowało pajęczyn?

– Zostawię dziecku do zabawy. Mężczyzna roześmiał się mimo woli.

Położyła mu na plecach gazę i owinęła bandażem. Wolałaby przy tym nie dotykać rannego, lecz było to niemożliwe, a okazało się zgubne. Przy każdym dotknięciu jedwabistej skóry przeszywał ją dziwny dreszcz. Wyobrażała sobie, że podobnie czuje się człowiek rażony piorunem. Ogarnęło ją przemożne pragnienie, aby znaleźć się w męskich ramionach i poczuć na ustach pocałunki.

Ale chyba nie pocałunki tego nieznajomego?

Nie chciała mieć do czynienia z osobnikiem, który miał podejrzaną ranę i taszczył cudze dziecko, a także otaczała go atmosfera tajemnicy, niebezpieczeństwa, egzotycznych przygód. Miała ochotę zadać mu kilka pytań, chociaż wiedziała, że i tak nie otrzyma zadowalających odpowiedzi. I że nic nie zmniejszy poczucia zagrożenia, mającego czysto fizyczne podłoże.

– Bandażuje mnie pani jak mumię.

– Przesada. Można wiedzieć, gdzie jest matka dziecka?

– Zmarła przy porodzie.

– Ale pan jest ojcem chłopca?

– Tak.

Wiedziała, że skłamał, lecz starała się mówić obojętnym tonem.

– Namysliłam się i udzielię panu gościny. Domek jest prymitywny, ale skoro chodzi panu wyłącznie o świeże powietrze i ryby, to jednego i drugiego jest w bród. Ja wyjadę, ale jeśli pan chce, żebym przedtem...

– Dzisiaj nie może pani jechać, bo zrobiło się ciemno. Było to powiedziane grzecznym, lecz stanowczym tonem i Storm poczuła się, jakby została uwięziona. Pocięszyła się tym, że ma dubeltówkę.

– Może i racja. Lepiej nie ryzykować i nie błędzić po górach w ciemności. Wyjadę rano.

Doskonale znała wszystkie drogi i nigdy nie błędziła. Poza tym

akurat była pełnia księżyca.

Przez cały wieczór mężczyzna nie spuszczał Storm z oka, ponieważ nie mógł ryzykować, że wyjedzie i rozpowie o nim. Znał się na ludziach i podejrzewał, że domyśliła się, iż on coś ukrywa. Nie zwiódł go opowieści o pajęczynie i sadzy.

W związku z jej obecnością powstała komplikacja, której nie przewidział i która była mu nie na rękę. Zakładał bowiem, że domek będzie pusty, a chciał pięć, sześć dni ukryć się w miejscu, w którym nikt nie będzie go szukał. W tym czasie Jack Day, zatrudniony w tej samej agencji, dowie się, czy zemsta politycznych wrogów Easta może osiągnąć jego dziecka. W lesie zostawił nadajnik wysokiej klasy, aby tą drogą nawiązać kontakt z Jackiem.

Noel East. Skromny i uczciwy człowiek, który odważył się zgłosić swoją kandydaturę w pierwszych wolnych wyborach w malutkiej Cressadzie. Sytuacja polityczna w kraju była groźna, więc potrzebował ochrony. Przydzielono mu jego, ale on niestety nie zdołał go ochronić. Easta zamordowano, a on wiedział, że tragiczna przegrana będzie go dręczyć do końca życia.

Dziecko zaczęło gaworzyć, wrócił więc do rzeczywistości, nim oczami wyobraźni zobaczył pogodny wyraz twarzy umierającego i usłyszał jego ostatnie słowa.

– Jak takie małe stworzenie może robić tyle hałasu? – zapytała zdumiona Storm, przerywając jego rozmyślenia.

– Od trzech dni zadaję sobie to samo pytanie – odparł bez namysłu.

Za późno spostrzegł swój błąd, bo przecież wcześniej powiedział, że jest ojcem dziecka. Storm udawała, że nic nie zauważyła.

– Może jest głodny? Ma pan coś dla niemowląt?

– Tak, w plecaku. – Zerwał się, aby ona nie szukała. – Już daję.

Był zły na siebie. Nie potrafił rozwiać podejrzeń Storm, nie przekonał jej, że jest ojcem dziecka, a teraz zdradził się, że w plecaku jest coś, czego nie powinna widzieć.

– Trzeba to podgrzać – mruknął.

– Przyniosę drwa i rozpalimy w piecu.

Gdy wyszła, przymknął oczy i położył rękę na ranie. Dawno nic go tak mocno nie bolało. Ciekaw był, jak prędko zadziała terpentyna z cukrem. A może wcale nie pomoże?

Podszedł do okna, odchylił zazdrostkę i odetchnął, gdy zobaczył, że Storm nie biegnie do koni. Pogwizdywała, jakby chciała dodać sobie otuchy. Odwrócił się do dziecka.

– Jak myślisz, czy możemy tu siedzieć bezpiecznie? Niemowlę zignorowało go, a nie był przyzwyczajony do tego, by go ignorowano. Nie był też przyzwyczajony do dzieci ani do samodzielnych kobiet. Gdy zobaczył Storm na werandzie, w pierwszej chwili myślał, że to chłopiec, ale gdy przeciągnęła się, na ramię opadły długie włosy. Była śliczna i urocza.

Dlaczego taka kobieta organizuje wycieczki w bezludnych górach? Pewno się ukrywa, jak on. Tyle że z innego powodu. Gotów był się założyć, że z powodu mężczyzny.

Miał za złe temu człowiekowi, że zburzył jej zaufanie, ponieważ teraz bardzo potrzebował ufnych ludzi.

Odszedł od okna i otworzył plastikowe pudełko. Nalał do rondla wody i wsypał seledynowy proszek, który rzekomo był groszkiem.

Niemowlę przestało płakać, ledwo wziął je na ręce, co sprawiło mu przyjemność, ale też speszyło.

– Otwórz dziób – mruknął.

Dziecko posłusznie otworzyło buzię, ale zamknęło, nim zdążył wsunąć łyżeczkę. Zielona papka spłynęła na niebieskie śpioszki. *

Mężczyzna gniewnie zmarszczył brwi. Dziecko wykrzywiło buzię w podkówkę, więc prędko zanucił piosenkę zapamiętaną z dzieciństwa. Niemowlę uśmiechnęło się, szeroko otworzyło buzię i groszek znalazł się tam, gdzie powinien. Gdy w milczeniu podał drugą łyżeczkę, dziecko skrzywiło się i zamknęło buzię. Chcąc nie chcąc, znowu zanucił rymowanekę.

Karmiąc chłopca, myślami przebiegł ostatni tydzień. Najgorszy tydzień w jego życiu! Najpierw stracił Noela Easta, z którym się zaprzyjaźnił, a potem wykradł jego syna z Cressady. Teraz zaś

musiał robić z siebie błazna, aby dziecko chciało jeść.

– Nie ma sprawiedliwości – szepnął.

Niemowlę znieruchomiało i poczerwieniało. Po chwili poczuł nieprzyjemny zapach. Pomyślał więc, że w życiu naprawdę nie ma sprawiedliwości.

ROZDZIAŁ DRUGI

Na czoło Storm wystąpiły krople potu, ale ogarnęła ją złość, gdy mężczyzna powiedział:

– Niech pani się podda. Chce pani złamać rękę?

Wynik przeciągania rąk miał rozstrzygnąć, kto przewinie niemowlę. Storm zamknęła oczy, mocniej oparła łokieć na stole i nacisnęła ze wszystkich sił. Zakłęła w duchu, ponieważ zdała sobie sprawę, że nie pokona przeciwnika, który na dodatek bawi się jej kosztem. Zrozumiała, że gdyby chciał, mógłby wygrać błyskawicznie i bez trudu.

Jake i Evan, aby zabawić siostrę, mocowali się z nią, ledwo zaczęła pewnie chodzić. Dość prędko nauczyli ją sztuczki, która potem dawała jej przewagę nawet nad dużo silniejszym przeciwnikiem. Dzięki takim zawodom Storm dowiadywała się co nieco o danym mężczyźnie i oceniała go po tym, jak reagował na porażkę lub zwycięstwo. Teraz chciała dowiedzieć się czegoś o swym dziwnym gościu.

Dorianowi nigdy tego nie zaproponowała, co okazało się błędem. Za późno stwierdziła, że zaoszczędziłaby sobie przykrości, gdyby zastosowała ten niezawodny sprawdzian charakteru. I nie powinna była udawać, że jest inna, niż jest. Ogarniał ją niesmak na wspomnienie czarnego tuszu i szkarłatnej pomadki, którymi się upiększała.

Popęłniła błąd, nie sprawdzając charakteru Dorian, ale pomyłką okazało się i to, że zaproponowała ćwiczenie siłowe nieznanemu. W chwili gdy dotknęła jego ręki, poczuła siłę, która ją przerastała. Niezwykłą siłę fizyczną i coś niepojętego, co przeniknęło ją do szpiku kości. Mocowała się prawie ze wszystkimi mężczyznami w Thunder Lake, lecz nigdy nie doznała tak osobliwego uczucia.

Patrząc w szare oczy, pomyślała, że pociąga ją w nim coś niepojętego i niezgłębionego. Między innymi dlatego chciała mu udowodnić, że nie zmusi jej, by zrobiła cokolwiek wbrew swojej woli. Uważała, że musi coś o nim wiedzieć, aby po wyjeździe

odpowiednio postąpić. Co należy zrobić: pozwolić mu na kilka dni wakacji, czy jak najprędzej zawiadomić policję o jego przybyciu?

Fakt, że nie czuła się wolna i nie mogła robić, co chce, powinien dać jej do myślenia i uświadomić prawdę. Nie wiedziała, czy tym razem wierzyć intuicji. W jasnych, szczerych oczach dostrzegła nie tylko chłodne opanowanie, ale i siłę charakteru.

Natomiast fakty budziły podejrzenia; dziwna rana, nie wyjaśniona obecność koło domku, prawdopodobnie cudze dziecko. Rzekomy ojciec nawet nie potrafił sprawnie przewinąć półrocznego niemowlęcia.

Po dziecinnemu postanowiła, że wynik przeciągania zadecyduje też o tym, jak postąpi. Jeśli przegra, wyjedzie i zapomni, że widziała tego człowieka i dziecko. Jeśli wygra, sprowadzi policję.

Znowu przymknęła oczy, nateżyła wszystkie siły i poczuła, że jej ręka zaczyna drżeć ze zmęczenia. A gdy mężczyzna nagle ją puścił, niemal spadła z krzesła.

– Co... cooo... ? – wyjąkała zaskoczona.

– Remis.

– Nieprawda. Jeszcze chwila, a wygrałabym. Mówiąc to, miała świadomość, że byłoby odwrotnie.

– Nie chciałem, żeby pani złamała rękę.

– Też coś!

– Już widziałem kość przez skórę... Ja uważam, że to remis.

Słowa często świadczą o charakterze człowieka, więc dowiedziała się przynajmniej tyle, że przeciwnik nie chciał zrobić jej krzywdy. Wyglądało na to, że jest szlachetnym człowiekiem.

Wstała i wytarła ręce o spodnie, jakby chciała stłumić uczucie, jakie ją ogarnęło, gdy patrzyła mu w oczy. To były oczy niebezpiecznego człowieka: tajemnicze, chłodne, spokojne. A mimo to odniosła wrażenie, że jest w nich coś, co w niepojęty sposób wiąże się z jej przyszłością.

– Jest pani bardzo silna.

Ta uwaga też dobrze o nim świadczyła. Niewątpliwie wygrał,

lecz był wspaniałomyślny i nie chciał sprawiać jej przykrości. To oznaczało, że jest pewny siebie i nie musi wywyższać się, aby podkreślić swoją wartość. Nie chełpił się przewagą.

Nie zdziwiło jej to, ponieważ od początku wyczuwała w nim pewność siebie człowieka, który chodzi z dumnie podniesioną głową i zawsze polega na sobie.

Odwróciła się od niego i spojrzała na płaczące niemowlę. Znowu zdziwiło ją, że takie maleństwo potrafi robić tyle hałasu. Skrzywiła się, wzięła czystą pieluszkę i rozwinęła, zastanawiając się, co należy z nią zrobić.

Podejrzewała, że gość nie zna imienia dziecka, a mimo to zapytała:

– Jak chłopcu na imię?

– Pieszczotliwie nazywam go Rockie. Nie musi pani go przewijać. Ja to zrobię, bo już się nauczyłem.

– Umowa obowiązuje. Można wiedzieć, jak panu na imię?

– Ben.

Intrygowało ją, dlaczego przedstawił się tylko imieniem, w dodatku po chwili wahania. Może podał fałszywe imię? Może sprawdzian nie pomógł i źle oceniła charakter nieznanego? Powinna pamiętać, że nie ma doświadczenia w kontaktach z mężczyznami.

Ben podszedł bezszelestnie i stanął tuż za nią. Krzyknęła przestraszona, gdy zobaczyła jego rękę obok swojej. Wziął pieluszkę, położył na szafce i przez chwilę patrzył na nią, jakby też zastanawiał się, co robić.

Stali ramię w ramię. Ben pachniał lasem, a to zapach, który zawsze uderzał jej do głowy. Poczowała falę ciepła.

Aby się opanować, zacisnęła zęby i czym prędzej przypomniała sobie ostrzegawcze znaki: podejrzaną ranę i cudze dziecko. Oraz to, że nie potrafi oceniać mężczyzn. Odsunęła się, aby wyzwolić się z kręgu jego magicznego oddziaływania.

– No, zaczynamy przewijać – rzekł McKinnon. – Jak mam zwracać się do pani?

– Podałam moje imię w broszurze.

– Storm. – Spojrzał na nią, jak gdyby chciał wyczytać z jej oczu coś ważnego. – Przewisko?

– Bracia tak mnie nazwali, gdy byłam małą.

Jake i Evan twierdzili, że imię idealnie odzwierciedla jej temperament, ale obcym tego nie mówiła.

Ben skinął głową, jak gdyby też uznał, że imię odpowiada charakterowi.

– A więc uprzedzam cię, Storm, że nadeszła chwila prawdy.

Ucieszyła się, że powie jej coś o sobie, ale okazało się, iż jego prawda nie jest tą, której się spodziewała. Podniósł dziecko z podłogi, przez moment trzymał jak najdalej od siebie, a potem zdecydowanym ruchem położył na szafce.

– Musimy rozwiązać ten problem wspólnie. Czy wiesz, smyku, ile z tobą kłopotu?

Rockie uśmiechnął się, jakby wcale nie bał się tego onieśmielającego człowieka.

– Mam nadzieję, że umiesz się dobrze zachowywać. Będziesz grzeczny w nocy?

Storm pomyślała, że gość chyba jest obdarzony poczuciem humoru.

– Może będziemy spać na zmianę? – zaproponowała. Wiedziała, że musi jakoś wydostać się z domu, a potem zastanowi się, co robić.

– Niezły pomysł.

Popatrzyła na duże, opalone dłonie. Było oczywiste, że nie są przyzwyczajone do zajmowania się niemowlętami. Równie oczywisty był fakt, że Ben robi wszystko bez wahania. Przemknęła jej myśl, że może też bez wahania zechce ją pocałować...

Przywołała się do porządku.

Ben zdjął dziecku śpioszki, więc zaczęło energicznie wymachiwać nóżkami.

– Masz klamerki do bielizny?

– Mam. – Przyniosła puszkę pełną różnokolorowych klamerek.
– Proszę.

Sądziła, że posłużą do zapięcia pieluszki, więc wybuchnęła nieopanowanym śmiechem, gdy Ben ostrożnie zacisnął jedną na nosie.

– Ty też chcesz? – zapytał niewyraźnie.

– A pomoże?

– Trochę.

Zapięła klamerkę przekonana, że z taką ozdobą jest jeszcze mniej atrakcyjna niż zwykle. Rzadko zastanawiała się nad swoim wyglądem i niewiele ją obchodziło, czy pociąga mężczyzn, ale teraz chciała się podobać. Klamerka rzeczywiście pomogła. Nos wprawdzie bolał, ale nie czuła przykrego zapachu.

– Uwaga, rozwijamy do końca – uprzedził Ben. Storm zdawało się, że powiedział to jak kapral, wydający rozkaz. Może pochodził z rodziny wojskowej?

– Raz-dwa.

Zdjął pieluszkę, podał Storm mokry ręcznik i pobiegł do otwartych drzwi. Bała się, że zrobi się jej niedobrze, lecz ku swemu zaskoczeniu bez wstrętu umyła dziecko, posmarowała kremem i zapudrowała.

– Co zrobiłeś z pieluszką? – spytała, gdy wrócił.

– Rzuciłem przed gankiem. Podała mu ręcznik.

– Z tym zrób to samo.

– Nie jest nowy?

– Jest, ale nieważne.

Popatrzył na nią z uznaniem i wyszedł. Storm przełożyła niemowlę na czystą pieluszkę.

– Nie zapinaj rzepów, jeśli masz tłuste ręce – krzyknął Ben z ganku.

– Czemu?

– Bo nie...

Ostrzegł ją za późno i rzepy nie chciały się skleić! Storm wytarła ręce, ale to nic nie pomogło.

– Błąd nowicjusza, nie przejmuj się – pocieszył ją Ben. – Mam niewiele pieluszek i dlatego muszę je oszczędzać.

– Można wziąć mech zamiast pieluszki.

– Naprawdę? A jak zabraknie mchu, pewno używasz pajęczyny, co?

– Nie śmieję się ze mnie.

– Gdzieżbym śmiał.

Mimo to odwrócił się, a gdy znowu na nią spojrział, w jego oczach nie było już wesołych błysków. Storm zrobiła groźną minę, ponieważ zaczynała się obawiać, że Ben ma zbyt dużo wdzięku.

– Jestem pełna podziwu, że ludzie potrafią wykorzystać to, co mają pod ręką – rzekła z powagą. – Dawniej byli niezależni od sklepów i producentów pieluszek...

– Ja też podziwiam zaradność prostych ludzi.

– To dobrze.

– Ale błagam cię, nie stosuj terpentyny z cukrem jako maści dla niemowląt.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie, lecz była zadowolona, że uważają za ciemną wieśniaczkę. Dzięki temu nie będzie jej podejrzewał o chęć ucieczki nocą. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni! Żałowała jedynie, że nie zobaczy wyrazu twarzy Bena, który rano obudzi się w pustym domku.

McKinnon uśmiechnął się tak, że zakręciło się jej w głowie. Potem owinał niemowlę bandażem, który zawiązał na kokardkę.

– Widzisz i ja potrafię wykorzystać to, co mam pod ręką.

Starła się zachować powagę i nie miała zamiaru się uśmiechnąć, jednak wybuchnęła śmiechem.

On też.

Dowiedziała się więc o nim czegoś. Po pierwsze, nie śmiał się tak chętnie jak ona. Po drugie, był bystrzejszy, ponieważ już zdjął klamerkę z nosa. Po trzecie, on też był nowicjuszem, jeśli chodzi o przewijanie niemowląt.

Przestali się śmiać i popatrzyli na siebie nieufnie.

– To nie jest twoje dziecko, prawda? – zapytała.

Nie chciała wzbudzać jego podejrzeń, ale jednak musiała coś wiedzieć.

Ben spojrział na nią z ukosa i bez pośpiechu ubrał dziecko w

śpioszki. Jego twarz znowu zamieniła się w nieprzeniknioną maską.

– Nie, nie moje.

– Więc skąd je masz?

– To bardzo długa historia, Storm.

Zaniepokoiło ją uczucie, jakiemu uległa, gdy usłyszała swoje imię wymówione niskim głosem. Zabrzmiało jak pieszczota. Niepokojąco...

– Mam dużo czasu, więc chętnie posłucham.

– Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej. – Przyjrzał się jej uważnie, odwrócił, przygładził włosy, westchnął i znowu na nią spojrzał. – Żeby cię uspokoić, mogę powiedzieć jedno: powierzono mi opiekę nad tym brzdącem, więc nie jestem kidnapierem.

– Jak długo go masz?

– Od kilku dni.

– Czy Rockie to jego prawdziwe imię?

– Niezupełnie.

Wpatrywała się w niego z napięciem. Nie odwrócił głowy, nie spuścił wzroku, ale oczu nie miał tak szczerych jak poprzednio.

Nieoczekiwanie odniosła wrażenie, że patrzy na człowieka, który cierpi z powodu osamotnienia i pomyślała zirytowana, że intuicja bywa przekleństwem.

– Jakie jest prawdziwe?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Nie chcesz.

– Niech ci będzie.

– Na jak długo powierzono ci opiekę nad nim?

– Tego jeszcze nie wiem.

Uznała, że lepiej nie pytać o nic więcej. Nie chciała, aby domyślił się, że zamierza uciec. Nie powinni przebywać pod jednym dachem.

Ben uświadomił sobie, że patrzy na Storm z coraz większą przyjemnością. Jej lekko skośne oczy były wielkie i niewiarygodnie błękitne. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek widział

oczy takiego koloru. Czarne i lśniące włosy wyglądały jak pasmo splecionego jedwabiu. Miała regularne rysy, a na lekko zadartym nosie kilka piegów. Pełne i zmysłowe usta były pięknie wykrojone. Pomyślał, że chętnie by je pocałował.

Przywołał się do porządku. Miał do wykonania poważne zadanie: zapewnić dziecku bezpieczeństwo: Musiał opiekować się chłopcem do czasu unormowania się sytuacji w Cressadzie. Należało czekać, aż zabójca Noela Easta znajdzie się w więzieniu, skąd nie będzie mógł zrobić krzywdy jego synkowi.

Wiedział, że musi zachować trzeźwość umysłu, a rozmyślenia o pocałunkach sprowadzają człowieka na manowce. Zmusił się więc, by spojrzeć na Storm chłodnym wzrokiem i ocenić, czy w razie zagrożenia będzie pomocą, czy kulą u nogi.

Zdecydował, że pomocą, ponieważ w jej twarzy widział siłę charakteru[^] niezależność i inteligencję.

Poza tym była silna fizycznie. Podczas przeciągania zdumiała go niespotykaną siłą w ręce. Szybkim i mocnym ruchem nadgarstka tak go zaskoczyła, że gdyby jeszcze trochę nacisnęła, wygrałaby, zanimby się zorientował, na co się zanoszą.

Powinien o tym pamiętać i mieć się na baczności, aby znów go nie zaskoczyła. Wolał nie zastanawiać się, do czego by to mogło doprowadzić.

Była tajemnicza, a jej imię przywodziło na myśl pierwotne siły natury, z którymi powinien liczyć się każdy rozsądny człowiek. Według niego kobiety z taką urodą wodziły mężczyzn za nos i rządziły światem. Intrygowało go, dlaczego tak niezwykła kobieta przebywa sama w górach.

I dlaczego zaproponowała przeciąganie rąk? Przecież gdyby zatrzepotała gęstymi, długimi rzęsami, zrobiłby dla niej wszystko. Wszystko! Nawet sam umyłby i przewinał niemowlę.

Była zagadkowa, a on nie chciał mieć do czynienia z tajemniczymi i intrygującymi zagadkami. W jego życiu było już wystarczająco dużo intryg, mrocznych sekretów i niebezpieczeństw. Zwerbowano go do służby wywiadowczej, gdy miał dwadzieścia jeden lat. Był niedoświadczony, więc łudził się,

że czeka go kariera i romantyczne przygody.

Prędko rozczarował się, ponieważ zamiast przygód czekała go samotna droga przez życie, co sprawiło, że stał się oziębły i twardy. Zbyt twardy i chłodny, by opiekować się niemowlęciem lub przebywać w towarzystwie tak uroczej kobiety.

A tymczasem powierzono mu dziecko i znalazł się pod jednym dachem z piękną istotą. W jego zawodzie rzadko zdarzały się sytuacje, które mu odpowiadały, więc nauczył się godzić ze wszystkim, co niesie życie.

Tym razem los powierzył mu dziecko i zetknął z intrygującą kobietą. Dziecko było sierotą, więc wymagało jego opieki. A piękną kobietę korciło, by zadać mnóstwo pytań. W jej oczach dostrzegł ciekawość, której nie mógł zaspokoić.

Przez dziesięć lat żył, kierując się zasadą: „Muszę to wiedzieć”. Człowiek nie dowiaduje się tego, czego nie chce wiedzieć i nie mówi drugim tego, czego oni nie muszą wiedzieć. Kobieta, która udzieliła mu schronienia, chciała wiedzieć wszystko, a przecież ze względu na jej i dziecka bezpieczeństwo nie mógł zaspokoić jej ciekawości.

Poczuł się trochę nieswojo, ponieważ patrzyła na niego takim wzrokiem, jak gdyby wiedziała o nim coś, czego sam o sobie nie wie. Zaniepokoił się i, aby odwrócić jej uwagę od siebie, powiedział:

– Może tobie uda się wcisnąć mu trochę papki.

Storm poczuła się niezręcznie, ale spojrzała na niemowlę i twarz jej złagodniała.

Na ułamek sekundy Bena ogarnęło zgubne pragnienie, by nie iść samotnie przez życie, lecz poznać miłość. Uświadomił sobie, że fakt, iż podał Storm swe prawdziwe imię oznaczało, że w jej obecności nie myśli jasno. Podobny niepokój serca skłonił go do tego, by podjąć się współpracy z Noelem Eastem. Działał pod wpływem impulsu, nie rozsądku i dokąd go to doprowadziło? Powinien wyciągnąć z tego doświadczenia wnioski, że należy bronić się przed okazywaniem sympatii innym.

Klnąc w duchu, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Serce mówiło

mu, że nikt go nie ścigał i że jedyne niebezpieczeństwo, jakie mu grozi, może nadejść z innej strony.

Niebezpieczeństwo, z jakim spotkał się pierwszy raz w życiu i wobec którego był bezbronny.

Storm cierpliwie karmiła niemowlę, które uparcie wypluwało część papki. Była zadowolona, że Ben wyszedł. W jego obecności nie czuła się sobą, ponieważ w głębi duszy budziło się w niej coś ciemnego i niebezpiecznego. Coś, czego nigdy nic nie poruszyło, nawet rzekoma miłość Doriana.

Gdy Rockie skończył jeść, wytarła mu buzię mokrym ręcznikiem, wzięła na ręce i zaczęła kołysać. Dziecko natychmiast zasnęło. Z przyjemnością trzymała je w ramionach, ale po pewnym czasie położyła małego z powrotem na podłodze.

Jak to zwykle w górach bywa, wieczór zrobił się chłodny. Ben wrócił z naręczem drew.

– Jest zimno – rzekł krótko.

Położył drwa ostrożnie, aby nie zbudzić Rockiego. Gdy popatrzył na śpiące dziecko, jego ostre rysy złagodniały. Nie zdawał sobie sprawy, jak to podziało na Storm, którą ogarnęło dziwne podniecenie.

– Trzeba coś zjeść – powiedziała trochę za głośno. – Dobrze, że przywiozłam sporo jedzenia. Zaraz przyniosę.

– Pomogę ci.

Nie wiedziała, czy Ben towarzyszy jej z grzeczności, czy chce ją mieć na oku. Poszli po torby z prowiantem. Ben bez wahania podszedł do konia i pogłaskał po łbie.

– To Sam – powiedziała, poruszona wyrazem jego twarzy. Co w niej wyczytała? Tęsknotę? Ben odwrócił się i popatrzył na nią rozbawiony.

– A więc to jest Sam! Wzruszyła ramionami.

– Widać, że lubisz konie i musiałeś mieć z nimi do czynienia.

– Mój ojciec hodował rasowe konie. Wychowałem się na ranczu w Wyomig.

– Powinnaś była wiedzieć.

– Co?

– Że byłeś kowbojem. Można nie mieć charakterystycznego stroju, może upłynąć wiele lat, a i tak to pozostaje.

– Co pozostaje?

– Arogancja – odparta niechętnie.

Pomyślała jednak, że to nie arogancja, lecz duma, siła, wiara w siebie, przejawiająca się w oczach i postawie. McKinnon zmarszczył brwi.

– Znasz się na kowbojach?

– Dwóch mnie wychowało.

– Powinienem był wiedzieć.

– Co?

– Ze jesteś żeńskim odpowiednikiem kowboja.

– Znasz się na takich kobietach?

– Nie. Nasze ranczo leżało daleko od innych. Nic nie wiem o kowbojach w spódnicy, ale gdybym miał wybrać idealną przedstawicielkę, wybrałbym ciebie.

– Nie jestem pewna, czy to komplement.

– Na pewno komplement.

– Dlaczego byś mnie wybrał?

Zapytała o to, chociaż zdawała sobie sprawę, że nie powinni rozmawiać o sobie.

– Bo wyglądasz, jakbyś potrafiła rzucać lasso z taką wprawą, z jaką linę kobiety przyszywają guziki.

– Przyszywają guziki! Ale masz staroświeckie poglądy na temat kobiet.

– Jesteś piękna, ale drażliwa – rzekł, jakby nie słyszał pytania.

– Wcale nie jestem. Miała na myśli urodę.

– Nie ma się o co obrażać. Drażliwość nie jest tak przykrą wadą jak arogancja.

– Rzeczywiście.

– Wyglądasz, jakbyś mogła bez zmrużenia oka zabić niedźwiedzia...

– Zabiłam, ale zmrużyłam oko. Nawet oba zamknęłam, gdy naciskałam spust.

Ben roześmiał się szczerym śmiechem, jaki mógłby rozproszyć

wszystkie wątpliwości. Storm bała się, że uwierzy człowiekowi, który wcale nie dowiódł, iż można mu ufać.

– Ile miałeś lat, gdy wyjechałeś?

– Szesnaście.

Zauważyła w jego oczach przelotny smutek, więc ciszej powiedziała:

– I wciąż żałujesz, prawda?

Pomyślała o dwóch latach w Edmonton, gdy bardzo tęskniła za braćmi. W mieście brakowało jej szerokich przestrzeni, po których można swobodnie jeździć konno oraz czystego powietrza, które jest rozkoszą dla płuc.

– Może. – Ben niedbale wzruszył ramionami. – Ale wszystkiego nie żałuję.

Szczególna nuta w jego głosie zdradziła, że choć bardzo różnił się teraz od chłopca, który wyrósł na ranchu w Wyoming, a mimo to chciałby wrócić do dawnego prostego życia.

Teraz nic w nim nie było proste. Czy dlatego przywędrował do jej domku?

– Co robiłeś po opuszczeniu domu? Ben wziął torby i ruszył w stronę chaty.

– Poznawałem świat. Wiesz, jak to jest...

Nie wiedziała, ale uznała, że na razie nie warto dalej pytać. Ostrożnie badali się nawzajem i zastanawiali, kto prędzej wyjawia jakiś sekret. Storm bała się, że czymś się zdradzi, więc postanowiła zamknąć usta, ale mieć otwarte oczy.

Przygotowanie kolacji nie zajęło im dużo czasu. Postawili na stole mięso z puszki, herbatniki, gorącą mocną kawę, brzoskwinie w syropie.

– Widzę, że jesteś przyzwyczajony do robienia posiłków.

– Do gotowania?

– Nie. Raczej do wykorzystywania byle czego.

– Nie mogę powiedzieć, żeby kolacja była z byle czego. Natychmiast pożałował swych słów, bo nie chciał wyjawić o sobie nawet tak mało.

Kawę pili na ganku i obserwowali księżyc wysuwający się zza

gór. Ciszę wieczoru przerywało tylko kumkanie żab, rżenie koni i skrzypienie krzesel.

– W takim otoczeniu chętnie spędziłbym całe życie – nagle rzekł Ben.

Storm pomyślała, że jest to pierwsze szczere wyznanie.

– Dlaczego tu mieszkasz?

Odczekała chwilę, zanim odparła, ostrożnie dobierając słowa:

– Podoba mi się okolica i lubię konie.

Nie miała zamiaru ani słowem wspomnieć o tym, że w Edmonton była miękka i wrażliwa, opowiedziała więc z werwą o tym, jak przed laty zastrzeliła niedźwiedzia i jak ujeżdżała źrebię, którego nikt inny nie zdołał dosiąść.

Zwykła towarzyska rozmowa. Nie powiedziała nic o sprawach serca, a mimo to miała wrażenie, że Ben słyszy to, co przemilczała.

– Zrobiło się późno i zimno – rzekła, wstając. – Chętnie pójdę spać.

– Ja też.

Ben przeciągnął siei ziewnął, więc zrobiło się jej przykro, że go nudzi, lecz zaraz olśniła ją myśl, że to doskonałe rozwiązanie. Zanudzi swego podejrzanego gościa do tego stopnia, że uśnie na stojąco, a wtedy ona ucieknie.

Po wejściu do domku rzuciła okiem na plecak i zauważyła, że nie ma przy nim śpiwora.

– Gdzie masz śpiwór?

– Zapomniałem zabrać – odparł bez zająknienia.

– Więc jak będziesz spać?

– Poradzę sobie.

Po zakończeniu sezonu zabierała wszystkie rzeczy, aby wyprać i ustrzec przed myszami i jeszcze nic nie przywiozła z powrotem. Miała tylko śpiwór dla siebie i nie zamierzała dzielić się nim z nieznanym mężczyzną. Co zrobić w takiej sytuacji? Było wiele rozwiązań... Dlaczego jako pierwszy przyszedł jej do głowy pomysł, aby spali razem?

ROZDZIAŁ TRZECI

– Jest tylko jedno przykrycie.

Benowi przyszła do głowy wielce niestosowna myśl, ale miał nadzieję, że zachował kamienną twarz.

– Nie spodziewałam się gości w tym tygodniu – dodała Storm.
– A zresztą powinieneś chodzić z własnym śpiworem.

Dla dziecka Ben miał wszystko na cały miesiąc, lecz dla siebie nie zabrał nawet drugiej koszuli. Wiedział, że nie należy wyruszać w daleką drogę bez odpowiedniego ekwipunku. Nie był przygotowany, a jednak dotarł na miejsce. Noel East powiedziałby, że ktoś nad nim czuwa i dlatego szczęście mu dopisuje.

– Poradzimy sobie. Ty weźmiesz śpiwór, a ja przykryję się kurtką – zdecydowała Storm. – Zwinę się w kłębek i będzie mi dobrze.

– Mowy nie ma.

– A co? Masz coś do przykrycia?

– Nie, ale jest dość ciepło, szczególnie koło pieca. Storm wzruszyła ramionami; na razie pozornie ustąpiła, chociaż nie zamierzała pozwolić, aby obcy człowiek rządził w jej domu.

– Za drzwiami wisi moja kurtka – powiedziała. Wzięła niemowlę i śpiwór, ale po namyśle podała Rockiego Benowi. Nie miał doświadczenia w obcowaniu z małymi dziećmi, więc od trzech dni dziwiło go, że we śnie robią się tak miękkie, jakby nie miały kości.

Storm przygotowała łóżko, wsunęła niemowie do śpiwora od strony ściany i położyła się bez rozbierania. Przez chwilę leżała na wznak, po czym przewróciła się na bok, objęła dziecko i zaczęła głośno, miarowo oddychać.

Ben popatrzył na nią z niedowierzaniem. Czy to możliwe, by tak prędko zasnęła? Na palcach. podszedł do drzwi i wyjrzał na dwór, nasłuchując. Panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć zwykłych odgłosów nocy. Słyszał tylko szum wiatru w drzewach i pohukiwania sów.

W bladym świetle księżycy polana mieniła się srebrem i czernią. Spojrzał na przybitą do drzewa deszczułkę, na którą przedtem nie zwrócił uwagi.

– „Przystań dla serca” – przeczytał półgłosem. – Idealna nazwa. Tu serce na pewno może się zakotwiczyć i znaleźć ukojenie.

Wydawało mu się, że znalazł doskonale schronienie i jest zupełnie bezpieczny. Dawno nie miał takiego wrażenia. Przypomniawszy sobie, jakie uczucie go ogarnęło, gdy głaskał konia. Przez moment był jak zbłąkany człowiek, który wreszcie znalazł się z powrotem w domu.

– Ale przecież ja nigdy nie tęskniłem za domem – mruknął pod nosem.

Wszedł do domku, cicho zamknął drzwi i spojrzał w stronę Storm. Dostrzegł jedynie czubek głowy i miarowe unoszenie się i opadanie śpiwora. Poruszając się bezszelestnie, wyjął z szuflady duży nóż, zablokował drzwi, rozwinął materac i w ubraniu położył się na najniższej pryczy. Był śmiertelnie zmęczony i pobołewał go żołądek. Dlaczego? Ze zmęczenia, czy z powodu wody, którą pił po drodze? Zaniepokoił się, ponieważ nie mógł pozwolić sobie na niedyspozycję, gdy miał pod opieką dziecko, któremu groziło niebezpieczeństwo. To byłaby katastrofa.

Po kilku minutach zrobiło mu się zimno, więc wstał, zdjął z haka watomaną kurtkę i rzucił na łóżko. Była cienka i mała, więc zastanawiał się, czy w ogóle warto się przykrywać. Pachniała koźmi, lasem i dymem z ogniska, ale oprócz tego poczuł delikatny zapach, świadczący o tym, że tę kurtkę nosi kobieta.

Położył się, okrył ramiona i plecy. Przez lata praktyki nauczył się spać z otwartymi oczami, dzięki czemu potrafił odpocząć, czuwając. Wiedział, że musi porządnie wypocząć, ale obawiał się zasnąć. Bał się, ponieważ w tym górskim domku było mu za dobrze, a w jego pracy takie uczucie było[^] zdradliwe.

Przymknął oczy tylko na chwilę, a zasnął snem człowieka, który znalazł spokój serca.

Storm poczekała, aż jego oddech stał się głęboki i równy. Ostrożnie wysunęła się ze śpiwora, usiadła, nadstawiła uszu i

czekała. Jedyne dźwiękami w domku było ciche chrapanie dziecka i spokojny oddech mężczyzny. Ben sprawił na niej wrażenie człowieka, który nigdy nie śpi głęboko, a tymczasem spał jak kamień.

Postawiła nogi na podłodze i znowu przez chwilę czekała. W domku było ciemno, ale przez okno zaglądał księżyc, więc mogła rozróżnić przedmioty.

Wyjęła z kieszeni latarkę wielkości ołówka, na palcach podeszła do plecaka i zniosła go bliżej drzwi. Ponieważ słyszała, że Ben manipulował przy drzwiach, szybko przesunęła dłonią od góry do dołu po futrynie i natknęła się na nóż. Fakt, że Ben zablokował drzwi w cudzym domu, utwierdził ją w przekonaniu, że to, co postanowiła zrobić, jest słuszne.

Ostrożnie wyciągnęła nóż i przez ramię spojrzała na Bena, nadal oddychającego równo i głęboko. Przyjrzała się oblanej światłem księżyca twarzy. Dostrzegła kilka kropel potu na czole. Teraz ta twarz zachwyciła ją jeszcze bardziej, ale nie miała czasu jej podziwiać.

Otworzyła drzwi, które lekko skrzypnęły, i wyniosła plecak na ganek. Przysiadła na krześle, wciągnęła buty do konnej jazdy, po czym rozwiązała plecak i zaświeciła miniaturową latarkę. Z natury nie była wścibska, lecz musiała dowiedzieć się prawdy, chociażby ze względu na dziecko.

Gdy wyjmowała mapę, menażkę, szczoteczki i pastę do zębów, czuła się tak samo, jak kiedyś na przyjęciu u znajomych, gdy w łazience otworzyła cudzą apteczkę w poszukiwaniu środka przeciwbólowego. Teraz jednak była u siebie i mogła wszędzie zaglądać, a mimo to poczucie winy jej nie opuszczało.

Układała wszystkie rzeczy porządnie na podłodze, aby potem chować je w takiej samej kolejności. Wełniane skarpetki, bielizna... Zarumieniła się speszona, ale coraz głębiej sięgała do plecaka. Coś błysnęło pod dziecięcą koszulką...

Dotknęła twardego i zimnego przedmiotu. Broń! Wcale nie taka, jaką Jake zabierał na polowanie. Pistolet był mały, zgrabny.

Znieruchomiła przerażona i wyteżyła słuch. Serce biło jej jak

szalone, ale w domu panowała cisza.

Wiedziała, co należy zrobić: musi natychmiast osiodłać konia, pojechać do wsi i zawiadomić policję, że w domku nocuje podejrzany człowiek z bronią.

Lecz co zrobić z Rockiem? Nie mogła zostawić bezbronного niemowlęcia z niebezpiecznym, uzbrojonym człowiekiem.

Wkładając rzeczy z powrotem, przypadkowo dotknęła bocznej kieszeni, której przedtem nie zauważyła. Namacała zamek błyskawiczny i wyjęła jakieś papiery: dwa paszporty oraz dokument, wyglądający jak prawo jazdy, ale napisany w obcym języku.

Ben na zdjęciu miał krótkie włosy, poważne oczy i zaciśnięte usta. Odczytała nazwisko pod zdjęciem: Trevor Murdoch. Otworzyła drugi paszport. Znowu zdjęcie Bena, ale tym razem podpisane: Webster Carmichael. W dokumencie wyglądającym jak prawo jazdy przeczytała: Ben McKinnon.

Zaschło jej w gardle. Czym prędzej włożyła dokumenty na miejsce i zaciągnęła suwak. Rozejrzała się po ganku i zmartwiała, gdy zauważyła, że dubeltówki nie ma tam, gdzie ją zostawiła. Wstała i powoli zeszła po schodach. Niechcący potrąciła kamień, który potoczył się z ogłuszającym hukiem. Znowu zamarła i przez długą chwilę nasłuchiwała. Nic. Z wolna serce uspokoiło się i zaczęło bić normalnie.

Gorączkowo rozmyślając nad tym, jak postąpić, podeszła do Sama. Koń podniósł głowę, ale na szczęście nie zarżał. Przyniosła siodło i koce, osiodłała swego ulubionego wierzchowca.

Gdy wieczorem układała plan ucieczki, ani przez moment nie pomyślała o tym, że zostawi Rockiego, musiała więc iść po niego, chociaż wcale nie miała ochoty wracać do domu. Wolałaby nie ryzykować, że obudzi Bena, ale od razu wskoczyć na konia i odjechać galopem. Chciała jak najprędzej znaleźć się wśród uczciwych ludzi, lecz wiedziała, że jeśli ucieknie, rano nikogo tu nie zastanie, a w bezkresnym lesie nikt Bena nie znajdzie.

Osiodłała *5ama i otworzyła furtkę ogrodzenia, za którym stał drugi koń. Wolała go nie zostawiać, aby rzeniem nie zbudził

Bena. Miała nadzieję, że koń pobiegnie za Samem.

Z ociąganiem ruszyła w stronę domku. Przy pniu do rąbania drzewa przystanęła niemile zaskoczona, ponieważ siekiery też nie było na zwykłym miejscu. Nie przyszłoby jej do głowy, że można uderzyć kogoś takim narzędziem, więc brak siekiery powiększył niepokój.

Bezszelestnie przeszła po skrzypiącym ganku, uchyliła drzwi i wśliznęła się do środka. Nic nie widziała, więc czekała, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Spojrzała na łóżko Bena i w momencie gdy przerażona uświadomiła sobie, że jest puste, poczuła na ustach i ramieniu silne ręce, a przy uchu groźny szept:

– Nie krzycz, bo obudzisz dziecko.

Ugryzła Bena w rękę i mocno kopnęła. Jęknął, ale jej nie puścił.

– Wybierasz się gdzieś? – spytał z gryzącą ironią.

– Właśnie wróciłam. Chyba zauważyłeś, że tu nie ma łazienki?

– Owszem, zauważyłem. – Odwrócił ją ku sobie i popatrzył zimnym wzrokiem. – Nie igraj ze mną, bo mocniejsi od ciebie źle na tym wyszli.

– To nie ja igram, panie McKinnon.

Ledwo to powiedziała, zdała sobie sprawę, że niepotrzebnie się zdradziła. I pożałowała, że włożyła pistolet z powrotem do plecaka, zamiast go wyrzucić.

Puścił ją, ale jego oczy niedwuznacznie ostrzegały, aby nie ważyła się robić nieprzemyślanych ruchów. Przelotnie spojrzał w bok.

– Gdzie jest mój plecak?

– A gdzie moja dubeltówka?

– Nie przeciągaj struny.

– Ja przeciągam? Kto tu oszukuje? Czy Ben McKinnon to twoje prawdziwe imię i nazwisko? Chyba nie, bo Trevor lepiej pasuje. A jeszcze bardziej Webster.

Przestała się bać, a ogarnęła ją złość, że ktoś ośmiela się oszukiwać ją pod jej własnym dachem.

Ben spojrzał na nią wrogo, nerwowym ruchem przygładził

włosy i mruknął:

– Wstyd szperać w cudzym plecaku.

– Nie mam zamiaru przeproszać za to, co zrobiłam. Dobrze, że zajrzałam, bo przynajmniej wiem, że jesteś oszustem. Może na dodatek mordercą i kidnaperem!

– Co jeszcze wymyślisz?

– Lepiej powiedz, kim jesteś.

– A uwierzysz mi?

– Nie.

– Więc po co mam strzepić sobie język?

– Faktycznie nie warto.

Zapłakał Rockie, co na moment odwróciło uwagę Bena, a Storm tylko na to czekała. Z całej siły popchnęła go, aż się zachwiał, jednym susem wypadła na ganek, przeskoczyła wszystkie stopnie naraz i jak błyskawica pobiegła w stronę koni. Od wielu lat była najszybsza w Thunder Lake i wygrywała wszystkie zawody.

Nie słyszała, czy Ben ją goni, ale nie traciła czasu na oglądanie się do tyłu.

Bena ogarnął strach, że jej nie złapie, a przecież nie mógł pozwolić, by mu uciekła. Był w samych skarpetkach, więc ostre kamyki kłuły go w stopy, lecz nie zważał na ból. Zaczynało brakować mu tchu, a Storm już dopadła Sama. Osiodłanego konia! Zdesperowany dobył resztek sił i rzucił się przed siebie.

Zdołał schwycić ją za nogę i ściągnąć na ziemię. Gdy upadła, wystraszył się, że ją zranił, ale przewróciła się zwinnie jak żbik. Prędko siadł okrakiem na jej nogach, aby nie zrobić jej krzywdy, a jednak przytrzymać. Storm zaczęła okładać go pięściami.

Po kilku nieudanych próbach złapał najpierw jej jedną rękę, potem drugą i przygwoździł obie na ziemi za głową.

Storm ciężko dyszała i patrzyła na niego wzrokiem bazyliuszka. Nagle sprężyła się i usiłowała go odepchnąć. Nie udało się, więc leżała jak martwa.

– Masz dosyć?

Nie odpowiedziała, co zrozumiał jako zaprzeczenie i dlatego

nie puścił jej rąk. Spojrzał na osiodłanego konia i siarczyście zaklął. Zdażyła wszystko przygotować! Widocznie spał jak zabity przez co najmniej godzinę, nim obudził się i zorientował, że jej nie ma.

– Dokąd się wybierałaś?

– Po policję. Puść mnie.

– A nie będziesz bić? – Czuł, że lewe oko zaczyna puchnąć. – Obiecujesz?

Nie odpowiedziała, a mimo to ostrożnie puścił jej prawą rękę. Storm zamachnęła się, więc prędko znowu ją schwycił.

– Nie chcę zrobić ci krzywdy.

– Tak mówi każdy łajdak z bronią.

– Wiem, że nie możesz mi ufać, ale wysłuchaj mnie. Popatrz mi prosto w oczy i posłuchaj własnego serca.

– Nie odwołuj się do mojego serca!

– Naprawdę nazywam się Ben McKinnon. Wierz mi. I nie zamierzam zrobić nic złego ani tobie, ani dziecku. Jak możesz posądzać mnie o to, że chcę skrzywdzić niemowlę?

Patrzyła na niego tak, jakby chciała, aby utonął w błękitnej głębinie jej oczu. Ben zorientował się, że robi mu się gorąco, jakby miał temperaturę.

Po chwili zaryzykował i puścił jedną rękę. Storm nie zamachnęła się, ale gniewnie syknęła:

– Odsuń się!

Przeturlał się na bok, usiadł i pomógł jej usiąść. Była zakurzona, więc niezdarnie otrzepał jej plecy i wyjął kilka patyków z włosów.

– Przestań – mruknęła.

Pomógł jej wstać, lecz nadal trzymał ją w mocnym uścisku, ponieważ stojący tuż przy nich osiodłany koń wciąż stanowił zagrożenie.

– Muszę znać prawdę o tobie – rzekła Storm stanowczo. – Chcę wiedzieć, kim jesteś.

Patrzył na nią długo, uważnie. Chciał powiedzieć jej wszystko, co mógł, bez zdradzania tajemnic, ale wiedział, że najpierw trzeba

zastanowić się, co i jak wyjaśnić. Tymczasem nie potrafił myśleć jasno. Był jakby nieprzytomny, lekko rozgorączkowany. Czy dlatego, że trzymał jej dłoń w swojej? Bardziej prawdopodobne było jednak to, że zrobiło mu się gorąco, gdy okładała go pięściami.

Nadal trzymając ją mocno za rękę, podszedł do Sama, przerzucił strzemień na drugą stronę i poluzował siodło.

– Możesz mnie puścić.

Pomyślał, że jeśli Storm ucieknie do lasu, długo będzie . musiał jej szukać, lecz nie miał najmniejszej wątpliwości, że będzie szukał do skutku. Tylko co zrobi z Rockiem? Czy ośmieli się zostawić dziecko samo? Przecież może potrzebować pomocy, gdy on będzie akurat daleko w lesie. Nie, do tego nie mógł dopuścić. Dlatego wciąż trzymał Storm, a nawet jeszcze mocniej zacisnął palce.

Bezsukutecznie próbowała się wyswobodzić.

Udając, że nie widzi jej gniewnej miny, zdjął siodło i rzucił na ziemię. Myślał o ważniejszych sprawach, a mimo to zauważył, że siodło jest wysokiej klasy, wykonane z pierwszorzędnej skóry, której zapach przyjemnie drażnił mu nozdrza. Miał lekkie wyrzuty sumienia, że tak źle obchodzi się z dobrym siodłem. I z piękną kobietą.

Pogładził pysk Sama i zdjął uzdę powoli, ostrożnie, aby nie uderzyć konia w zęby. Zdziwiło go, że po tylu latach wciąż jeszcze doskonale pamięta, jak rozsiodłać konia i potrafi robić to z wprawą. A przecież był przekonany, że zupełnie zerwał z dawnym życiem. Poklepał konia po zadzie i lekko popchnął. Gdy oba konie znalazły się za ogrodzeniem, odetchnął z ulgą.

– Chyba możesz wreszcie mnie puścić – wycedziła Storm przez zaciśnięte zęby.

– Teraz tak.

Potarła rękę, jakby rozcierała bolące miejsce, a Benowi zrobiło się przykro. Uświadomił sobie ze zdumieniem, że pragnie, aby Storm go polubiła, a takie pragnienie to oznaka słabości. Nie powinien przejmować się tym, co ona myśli o nim i o jego pracy.

Przygotował się na to, że rzuci się do ucieczki, ale ani drgnęła. Patrzyła na niego spod gniewnie zmarszczonych brwi, spojrzeniem pełnym wyrzutów, pierś jej falowała.

– Idziemy, bo potrzebuję choć trochę snu – rzekł, starając się mówić głosem chłodnym i obojętnym – Co mnie to obchodzi? – burknęła.

Zaczekał, aż ruszy pierwsza i poszedł za nią. Storm szła z dumnie uniesioną głową, chociaż była zła, że daje się prowadzić jak więzień. Na ganku zdjęła buty i na palcach weszła do domku. Nie oglądając się za siebie, poszła prosto do łóżka i wsunęła się do śpiwora. – Rockie spokojnie spał, jak gdyby niedawno wcale nie płakał.

Ben niepewnie przystanął na progu, zastanawiając się, jak teraz postąpić. Czy siedzieć przez całą noc i nie spuszczać z niej oka? Nie, to złe rozwiązanie, ponieważ rano ona wstanie wypoczęta, on zaś będzie półprzytomny z braku snu. A przecież musiał mieć dobrą kondycję, zachować bystrość umysłu. Wiedział, że nie zdoła czuwać przez całą noc. Był coraz bardziej ociężały, ręce i nogi miał jak z ołowiu.

Najchętniej powiedziałby jej prawdę, lecz wątpił, czy mu uwierzy. Historia była zupełnie nieprawdopodobna, jak szkic scenariusza do filmu szpiegowskiego. Dlatego postanowił odłożyć na później wtajemniczenie Storm. Podszedł do pryczy, ściągnął materac i położył na podłodze. To samo zrobił z drugim materacem.

– Storm!

Odwróciła się i rzuciła mu wojownicze spojrzenie.

– Czego chcesz?

– Wstań i weź dziecko.

– Po co?

– Zrób to.

– Rozkazujesz mi, bo masz broń.

– Zgadłaś.

Niechętnie wstała i wzięła dziecko na ręce. Zauważył, z jakim niepokojem przytuliła niemowlę do piersi i zrozumiał, dlaczego

wróciła. Nie odjechała, ponieważ bała się zostawić Rockiego z przestępcą. Martwiła się i troszczyła o cudze dziecko, które знаła zaledwie od kilku godzin. Zalała go fala czułości dla niej, lecz na zewnątrz nie okazał wzruszenia, ponieważ bał się, że Storm uzna to za słabość, którą na pewno zechce wykorzystać.

Wskazał palcem materace i głosem nie znoszącym sprzeciwu polecił:

– Kładź się tutaj.

– Nie.

– Kobieto, przestań droczyć się ze mną. Jestem straszliwie zmordowany, ledwo trzymam się na nogach, ze zmęczenia prawie nie widzę na oczy. Kładź się bez gadania.

Gniewnie potrząsnęła głową, ale położyła niemowlę, rzuciła Benowi spojrzenie, które zmiażdżyłoby mniej odważnego człowieka, i z miną obrażonej królowny położyła się obok dziecka.

Ben wziął śpiwór, rozpiął zamek i przykrył oboje. Znowu ogarnęło go niezdecydowanie. Co teraz zrobić? Mógł zaczekać, aż Storm uśnie i wtedy położyć się koło niej, co jednak mogło skończyć się tym, że podbije mu drugie oko.

W odruchu rozpaczy postanowił zaryzykować od razu. Usiadł na brzegu materaca i zdjął przemoczone skarpetki. Wyczuł, że Storm zastygła i czeka, co będzie dalej. Nie odwrócił się, nic nie powiedział. Spokojnie sprawdził, czy ma poranione stopy, ale okazało się, że skóra jest cała. Zdjął koszulę, odchylił brzeg śpiwora i jakby nigdy nic położył się koło Storm.

– Wynoś się! – krzyknęła oburzona. – Za śmiało sobie poczynasz! Co ty wyprawiasz?

– Kładę się spad. – Pomaca! chwilę, aż znalazł jej (Moń. – Chcę się wyspać. Dobranoc.

– Puść moją rękę!

– Jak sobie życzysz. – Puścił rękę, ale położył się na boku, objął ją w pół i szepnął: – O to ci chodziło? Teraz jest lepiej?

Przyglądał się jej spod rzes. Leżała spięta i wpatrywała się w sufit. Postąpił w ten sposób, ponieważ nie widział innego

rozwiązania. Nie mógł pozwolić, aby sprowadziła policję. Może bezpieczniej byłoby, gdyby ją związał, ale nie chciał uciekać się do tak drastycznych środków.

Nie przewidział jednak, że wybrał ryzykowne rozwiązanie i że ogarną go dziwne uczucia. Jej strach i bezbronność wzruszyły go. Miętkość jej ciała wprawiała w zachwyt, a delikatny zapach jej włosów przyjemnie drażnił.

Znowu przemknęło mu przez myśl, że los jest bardzo niesprawiedliwy.

Niebawem poczuł, że Storm trochę się odprężyła, więc spojrzał na nią otwarcie. Gęste czarne rzęsy rzucały cień na jasne policzki. Usta miała lekko rozchylone, jakby chciała krzyknąć, że go nienawidzi.

Jak można być tak blisko pięknej kobiety i spać?

Miał ochotę zgrzytać zębami ze złości.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zbudziły ją jakieś podejrzane odgłosy, chwilę nasłuchiwała i zdawało się jej, że usłyszała jęk albo groźny pomruk.

Czyżby pod domek podszedł niedźwiedź?

Błyskawicznie oprzytomniała, a gdy przypomniała sobie wydarzenia z poprzedniego dnia, aż usiadła. Oczami wyobraźni ujrzała wychodzącego zza drzew mężczyznę z dzieckiem w plecaku. W nocy znalazła w plecaku pistolet, więc chciała uciec, ale została zatrzymana przemocą.

Wyglądało to wszystko jak zły sen, lecz dziecko obok niej było prawdziwe. Ostrożnie położyła mu rękę na piersi i ucieszyła się, że spokojnie oddycha. Księżyc widocznie schował się za chmury, ponieważ było prawie czarno i z trudem rozróżniała kontury przedmiotów. Gdy próbowała uciec, było znacznie jaśniej. Uciec? Ogarnął ją gniew i gwałtownie się poruszyła. Nie przytrzymała jej obca ręka, na przegubie nie zacisnęły się silne palce. Powoli odwróciła głowę i spojrzała w bok.

Miejsce Bena było puste.

Serce zaczęło jej bić jak szalone, gdy pomyślała, że znowu ma szansę uciec. Może lepszą niż poprzednio, więc należy ją czym prędzej wykorzystać.

Zerwała się na równe nogi. Zdażyła przywyknąć do ciemności, więc widziała, że Bena nie ma w domku. Sądziła, że ma za mało czasu, by osiodłać konia, więc postanowiła jechać na oklep. Wiedziała, że będzie posuwać się wolniej, ale na pewno zdaży uciec. W taką ciemną noc droga będzie trudniejsza i nie można ryzykować galopu, gdy ma się przy sobie dziecko.

Znowu usłyszała podejrzany dźwięk.

Był to jakby jęk bólu. Pierwszy raz coś podobnego słyszała i zwątpiła, czy takie odgłosy wydaje skradający się niedźwiedź.

Spojrzała uważniej na drzwi. Były uchylone, więc podeszła na palcach i wyjrzała przez szparę. W fotelu siedział zgarbiony Ben, kurczowo trzymając w rękach jej buty do konnej jazdy. Widocznie w ten sposób chciał przeszkodzić w ucieczce, Gdy z gardła

wyrwał mu się trudny do określenia dźwięk, Storm przeszył zimny dreszcz. Czuła, że traci głowę. Co począć? Zabrać dziecko i uciekać bosą? Wrócić do łóżka i czekać na lepszą okazję wymknięcia się?

W trudnych sytuacjach zawsze intuicja jej podpowiadała, co powinna robić. Zawiodła ją tylko raz, a to za mało, by w nią wątpić.

„Wyjdź!” – podpowiadał wewnętrzny głos.

Rozejrzała się, aby zabrać coś ciężkiego, co mogłoby posłużyć jako broń. Przemknęła jej szalona myśl, że mogłaby podpalić domek i uciec, gdy Ben będzie gasił pożar. Zastanawiała się, czy wyjść drzwiami, czy uciec przez okno. Okno było tak małe, że prawdopodobnie utknęłaby i musiała czekać, aż Ben ją wyciągnie. Poza rym, co miałyby zrobić z Rockiem? Wyrzucić go przez okno, czy wysuwać się tyłem, ciągnąc go za sobą?

„Wyjdź!”

Westchnęła niezadowolona, ponieważ uważała, że to nie jest dobre rozwiązanie, ale jednak wyszła.

Ben podniósł głowę. Widziała go wyraźnie, ponieważ na ganku było nieco jaśniej. Noc była chłodna, a mimo to miał twarz zlaną potem i na przyklejonej do ciała koszuli mokre plamy. Czyżby się rozchorował? Chyba nie udawał? Przedtem miał czyste i bystre oczy, a teraz mętne, niezbyt przytomne spojrzenie. Było oczywiste, że nie będzie miał siły jej zatrzymać, więc może spokojnie wziąć dziecko, osiodłać konia i jechać do Thunder Lake.

Wstał, ale wyglądał, jakby to był dla niego duży wysiłek. Zachwiał się, postąpił krok w jej stronę, zachwiał się znowu i nagle runął jak podcięte wielkie drzewo. Padł u jej stóp.

Trąciła go nogą, ale nie poruszył się, tylko jęknął cicho. Ucieszyła się, że ułatwił jej zadanie i nie będzie musiała ponownie z nim walczyć. Może iść po dziecko i odjechać bez przeszkód.

A co będzie, jeśli po powrocie zastanie na ganku trupa? Może to jej wina, że zemdlał? Może źle oczyściła ranę, która zaczęła się jątrzyć? Może dlatego stracił przytomność? Gryzło ją sumienie,

więc poszła po apteczkę i latarkę. Zaświeciła Benowi prosto w oczy, ale nawet nie drgnął; w słabym świetle latarki jego twarz miała zielonkawy kolor.

– Panie McKinnon? – Przykucnęła i powiedziała prosto do ucha: – Ben?

Drgnął ledwo dostrzegalnie. Kilkakrotnie powtórzyła dwa inne imiona i nazwiska, lecz nie reagował, więc doszła do wniosku, że jej nie okłamał i podał prawdziwe nazwisko.

Gdy rozpięła mokrą koszulę, buchnęło od mego gorąco.

Nie ulegało wątpliwości, że ma wysoką temperaturę i dlatego stracił przytomność. Nie chciała marnować czasu na rozwijanie bandaża, którym starannie zabezpieczyła opatrunek, więc przecięła go zdecydowanym ruchem. Odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że rana jest czysta; wprawdzie jeszcze trochę krwawiła, ale ani nie była zaczerwieniona, ani nie ropiała. Założyła opatrunek z powrotem i plastrem przymocowała pocięty bandaż.

Położyła dłoń na rozpalonym czole Bena, który otworzył oczy i przez chwilę patrzył na nią nieprzytomnie, a potem nagle złapał ją za kostkę.

– Nigdzie nie pojedziesz – wychrypiał z trudem. – Nawet nie próbuj.

Gdy strzepnęła jego rękę z kostki, nie oponował; był za słaby. Miała litość dla bezbronego, więc nie chciała mówić, że go zostawi.

– Zdejmę ci koszulę – powiedziała tak łagodnie, że aż sama się zdziwiła. – Obmyję cię zimną wodą, dam aspirynę, a potem zobaczymy...

– Woda...

– Trochę cierpliwości. Zaraz ci przyniosę. Masz rację, powinieneś dużo pić...

– Po drodze piłem wodę...

– Nie przegotowaną? To chcesz mi powiedzieć? Złapał ją za rękaw i przytrzymał.

– Cressada.

W pierwszej chwili to słowo nic jej nie mówiło, lecz przypomniała sobie, że jest to nazwa dalekiego małego kraju, o którym zrobiło się głośno przed kilkoma miesiącami. Doszło tam do poważnych zamieszek, gdy po raz pierwszy w historii kraju zapowiedziano wolne wybory. Przez kilka dni w dzienniku pokazywano stamtąd migawki.

– Piłeś wodę w Cressadzie?

Nie odpowiedział. Zamknął oczy i zaczął ciężko dyszeć.

– Ben!

Otworzył oczy i patrzył przytomnie, więc prędko zapytała o to, co było najważniejsze:

– Czy Rockie też pił tę wodę? Dałeś dziecku skażonej wody?

– Co ty? – szepnął oburzony. – Dla niego mam wodę w butelkach.

Znowu stracił przytomność.

Storm zamyśliła się. Fakt, że zabrał wodę dla dziecka, świadczył o nim pozytywnie i znaczył, że dobro dziecka jest dla niego najważniejsze. Postanowiła potraktować go lepiej, niż zamierzała. Najpierw poda mu lek i zbije temperaturę, a dopiero potem zwiąże. Gdyby nie miał gorączki, czułaby złośliwą satysfakcję, że karta się odwróciła i teraz on jest bezradny, zdany na jej łaskę.

Przygotowała kilka ręczników, miskę z wodą, aspirynę oraz sok i wróciła na ganek. Chory szklanym wzrokiem wpatrywał się w niebo.

– Ben? – Przyklęknęła. – Obmyję cię i...

Schwycił ją za rękę i mocno ścisnął. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Noel? – wycharczał. – Gdzie on jest?

– Nie wiem.

Wyswobodziła rękę i z trudem ściągnęła z niego koszulę. Na widok jego potężnej piersi mimo woli ogarnął ją zachwyty, chociaż powinna pamiętać, że ma patrzeć na niego wyłącznie jak na wroga. Doznawała uczuć, do których wołała się nie przyznawać.

– Opowiedz o nim – zaproponowała.

Liczyła na to, że przy okazji opowie też o sobie i wreszcie usłyszy coś, co powinna o nim wiedzieć.

– Taki dobry człowiek – zaczął Ben. – Sto razy lepszy ode mnie. Wierzył w miłość i piękno w życiu. Ufał ludziom, bo sądził, że są dobrzy. Był przekonany, że każdy może zrobić coś dobrego. Zaklął, skrzywił się z bólu i zawołał:

– Gdzie jest Noel?

– Został w Cressadzie?

Pociemniały mu oczy i przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa.

– Zabili go, prawda?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. – Wrzuciła aspirynę do kubka z sokiem i podała mu, ale mocno zacisnął wargi.

– Nie bądź dziecinny, otwórz usta. I nie patrz na mnie wilkiem. No, proszę.

Nie otworzył ust. Wiedziała, jak należy postąpić, chociaż wobec dorosłego człowieka zdawało się to śmieszne. Niechętnie zanuciła piosenkę zapamiętaną z dzieciństwa.

Benowi rozbłysły oczy, posłusznie otworzył usta, wypił sok z aspiryną i westchnął zadowolony. Storm bez przeszkód obmyła go. Zrobiło się chłodno i powinna zabrać go do domu, ale musiałby jej pomóc, a podejrzewała, że nie zechce wejść do środka. Zamknął oczy i niebawem zasnął.

Postanowiła, że posiedzi przy nim pół godziny, aby przekonać się, czy temperatura opada. Potem poszuka dubeltówki, wyrzuci pistolet, weźmie dziecko i odjedzie.

Zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Kim był Noel? Dlaczego nie żyje? Zmarł czy ktoś go zabił? W jakich okolicznościach? Może lepiej nie wyrzucać pistoletu, lecz zabrać ze sobą? *t* Otworzyła plecak, bez pośpiechu wyjęła część rzeczy i obejrzała paszporty dokładniej niż za pierwszym razem. Na zdjęciach Ben wyglądał surowo i nieprzystępnie. Chyba jednak miał dobre serce. Świadczyło o tym to, że starannie złożył śpioszki i koszulki, a także zabrał pluszowego misia.

Nareszcie wyjęła pistolet. Uważała, że jest to najgorsza broń,

ponieważ jest nieprzydatna na polowaniu, a służy tylko do zabijania ludzi. Zabrała pistolet i wsunęła pod luzną deskę na ganku. Ben spał twardym snem i był mniej rozpalony.

Szukanie dubeltówki przeciągnęło się prawie do świtu. Gdy znowu wyszła na ganek, Benem wstrząsały dreszcze. Sprawdziła, czy Rockie śpi, wzięła sznurek i wyszła na palcach. Ben stał przechylony przez balustradę i wymiotował. Cierpliwie zaczekała, aż torsje ustaną. Gdy się odwrócił, miał błędny wzrok i nie ulegało wątpliwości, że jest nieprzytomny.

– Noel nie żyje – oznajmił.

Speszyła się. Nie wiedziała, co powiedzieć i prędko schowała sznurek do kieszeni.

– Współczuję ci – szepnęła.

– Gdzie jego syn? Gdzie Rockie?

W jego głosie brzmiało przerażenie, więc zawstydziła się, że chciała związać chorego człowieka.

– Śpi. Jest bezpieczny.

Odwrócił głowę i popatrzył na góry.

– Noel mówił, że człowiek może czegoś tak bardzo pragnąć, iż gotów jest oddać za to życie.

– Ale co mu z tego przyjdzie po śmierci?

– Pragnął tego dla swego dziecka.

– Czego pragnął?

Ben chwiejnie podszedł do krzesła i opadł na nie całym ciężarem.

– Marzył o lepszym życiu dla syna.

Storm dotknęła jego czoła; znowu było rozpalone. Poszła po sok i aspirynę. Czowała, że traci cenny czas i ucieczka może się nie udać. Wyglądało na to, że zaprzepaściła szansę związania Bena, więc teraz powinna ostatecznie postanowić, jak postąpi.

Tym razem Ben bez sprzeciwu połknął aspirynę, nawet nie otwierając oczu. Patrzyła na niego niezdecydowana, gdy zapłakał Rockie. Przewinęła „niemowlę, nakarmiła, owinęła kocykiem, wzięła dubeltówkę i wyszła na ganek.

Ben wyglądał bardzo źle, lecz nie zmieniła decyzji. Zaniosiła

dziecko aż do płotu i zostawiła koło bramy. Miała nerwy napięte jak postronki, co konie od razu wyczuły. Sam nie był płochliwy, ale teraz rozejrzał się, nerwowo potrząsając grzywą. Poklepała go i drżącym głosem powiedziała kilka słów na uspokojenie. Ręce jej się trzęsły, więc niezdarnie umocowała siodło. Dwa razy upuściła uzdę, bo Sam kręcił łbem.

Wreszcie osiodłała go, przywiązała Rockiego i wskoczyła na wierzchowca.

– Teraz nic mnie nie zatrzyma – mruknęła. – Nic i nikt. Podjechała do ganku, aby jeszcze raz rzucić okiem na chorego. Ben stał przy balustradzie i patrzył na nią niezbyt przytomnymi, pełnymi bólu oczami.

– Storm, proszę cię, nie jedź.

Zdziwiła się? że ją poznał. Zastanawiała się, czy oprzytomniał na tyle, że znowu stanie się niebezpieczny.

– Muszę jechać.

– Może już go gonią.

– Kto? Kogo?

– Ci, którzy zabili Noela, ojca Rockiego. Może ruszyli w pościg i szukają dziecka.

– Cooo? – Wpatrywała się w niego przerażona. – Chcesz powiedzieć, że ktoś ma zamiar zabić to maleństwo?

– To całkiem prawdopodobne.

– Żartujesz.

– Nie żartuję.

Jakaś nuta w jego głosie sprawiła, że przeszył ją zimny dreszcz i myśli jak szalone przelatywały przez głowę.

– Wysłuchaj mnie. Opowiem ci wszystko i jeśli potem zechcesz jechać, nie będę cię zatrzymywał. Daję słowo honoru.

Popatrzyła na niego podejrzliwie. Wiedziała, ile warte są przysięgi mężczyzn. Nic! No, przecież nie wszyscy są tacy jak Dorian. Choćby jej bracia, którzy są przykładem szlachetnych przedstawicieli męskiego gatunku.

– Skoro uważasz się za człowieka honoru, czemu od razu wszystkiego mi nie powiedziałeś? – zapytała ironicznym tonem,

choć zrobiło się jej żal Bena, kurczowo trzymającego się balustrady.

– Nie mogłem.

– A teraz możesz?

– Masz nade mną przewagę – przyznał niechętnie.

– Czemu po dobroci nie chciałeś powiedzieć?

– Bo uważałem, że nie ma potrzeby.

– Wpakowałeś się do mojego domu, uwięziłeś mnie i...

– Wysłuchaj mnie, proszę. Przyznaję, że cię okłamałem, nie jestem tu na wakacjach. Ale są poważne powody, dla których nie mówiłem prawdy. Zdecyduj się, czy zostajesz, czy jedziesz, ale szybko, bo nie mam siły tu sterczeć i słuchać, jak mnie wyzywasz od najgorszych.

– Wcale nie zamierzam cię wyzywać.

– Pewno tylko dlatego, że ledwo trzymam się na nogach.

Jakby na dowód prawdziwości swych słów stracił równowagę, przeleciał przez balustradę, ciężko spadł na grządkę kwiatową i głucho jęknął. Storm widziała groźniejsze upadki, więc była pewna, że nic mu się nie stało. Przez chwilę wpatrywała się w plecy leżącego, a potem spojrzała w dal na drogę przez las.

Rozsądek podpowiadał, żeby odjechała, natomiast serce mówiło, aby została.

Popatrzyła na Rockiego, który usiłował wepchnąć do buzi garść końskiej grzywy. Był potargany i włosy śmiesznie sterczały mu na czubku głowy. Wzruszona pogłaskała pyzaty policzek.

– Kto chce ci zrobić krzywdę? – szepnęła. – Są takie potwory na świecie?

Nareszcie zrozumiała, dlaczego Ben przyszedł do jej domku. W tym zakątku wydawało się człowiekowi, że żyje w innym świecie, lepszym od tego, z którego uciekł. Tutaj królowały góry, szumiały świerki i sosny. Nocą można było podziwiać rozgwieżdżone niebo, a w ciągu dnia kwitnące laki. Powietrze było świeże i czyste.

Tutaj najwyższą wartość miały sprawy ważniejsze i większe od ludzi, ich małostkowości i nienawiści. Jednym słowem, było

bezpiecznie.

Jeżeli naprawdę ktoś miał złe zamiary wobec Rockiego, dziecku było potrzebne właśnie takie schronienie. I Ben był mu potrzebny. Ona nie zapewniłaby mu bezpieczeństwa w chwili zagrożenia. W Thunder Lake nie musiałyby bać się nikogo, lecz przecież nie wie, kto szuka dziecka, jak daleko sięga jego zbrodnicza ręka ani jak daleko tropiono Bena.

Dlaczego nie miał zaufania do władz lub policji i nie powierzył im chłopca? Czy ona powinna zaufać miejscowej policji? A jeśli ich ochrona zawiedzie?

Westchnęła zrezygnowana, przestała się wahać i zeskoczyła z konia. Zdjęła Rockiego, ale nie rozsiodła Sama. Wolała, aby stał w pogotowiu, więc przywiązała go do balustrady. Przeszła nad nieruchomym ciałem i położyła dziecko na ganku.

Dopiero teraz zajęła się Benem. Po dwóch nieudanych próbach, zarzuciła sobie jego rękę na szyję i przytrzymała. Sapiąc z wysiłku, wciągnęła go do domku, ułożyła na materacu i przykryła śpiworem.

Przez cały dzień chory na przemian majaczył i mówił przytomnie. Cierpliwie pielęgnowała go i słuchała. Noc spędziła skulona pod kurtką, którą usiłowała przykryć dziecko i siebie.

Rano akurat karmiła Rockiego, gdy Ben wstał, chwiejnie podszedł do stołu i usiadł naprzeciw niej. Spojrzała na niego ponad główką niemowlęcia.

– Bardzo źle wyglądasz.

– A jeszcze gorzej się czuję.

– Co zjesz?

– Nic, bo wolę nie ryzykować.

– Czyli słyszałeś o moim talencie kulinarnym!

– To nie była aluzja pod twoim adresem. – Zdobył się na nikły uśmiech. – Czy podziękowałem ci za to, że nie wyjechałaś?

– Hmm. Wylewnie dziękowałeś za to, że dostałeś na Gwiazdkę zrobiony na drutach sweter z wizerunkiem niedźwiedzia. Marzyłeś o takim.

– To prezent od babci, która sama go wydziergała. Miałem

wtedy pięć albo sześć lat Gdybyś nie wspomniała o niedźwiedziu, myślałbym, że żartujesz.

– Byłeś mi wdzięczny za to, że pozwoliłam ci wziąć chorego żrebaka do domu i trzymać go w kuchni.

– To mama pozwoliła. Miałem wtedy dziewięć lat.

– Podziękowałeś mi też za pierwszy pocałunek.

Ben lekko poczerwieniał, a Storm zastanawiała się, czy z zażenowania, czy z powodu temperatury.

– To była BettyLou Montgomery. W siódmej klasie. Wcale nie wyglądasz jak BettyLou...

– Chyba jeszcze mniej przypominam twoją babcię i mamę, prawda?

– Wyobraź sobie, że do babci jesteś trochę podobna. Nie tylko z oczu.

Wiedziała, że żartuje, chociaż nie drgnął mu żaden mięsień na twarzy.

– No, no, nie rób ze mnie babci, bo rzucę się na ciebie i zacznę okładać piśćciami. A ty nie masz siły się bronić.

– Chyba nie – przyznał.

Pogłaskał Rockiego po główce i podrapał za uchem. Niemowlę rozpromieniło się, więc i on się uśmiechnął.

– Nie podziękowałeś mi za to, że zostałam, ale słusznie. Nie wyjechałam, bo czekam na obiecane przez ciebie wczoraj wyjaśnienia.

Nie była to prawda, ponieważ już słuchając jego majaczeń, postanowiła zostać.

– Czy mocno bredziłem? Mówiłem coś ciekawego?

– Boisz się, że zdradziłeś jakąś tajemnicę państwową?

– Coś koło tego.

– Pilnie nadstawiałam uszu, ale niczego się nie dowiedziałam. Nadal otacza cię aura tajemnicy. Właściwie nie przekroczyłeś granicy szesnastu lat, bo z późniejszego okresu wspominałeś tylko Noela.

Ben zamknął oczy, aby nie dostrzegła w nich bólu, i dość spokojnie zapytał:

– Co o nim mówiłem?

– Że to ojciec Rockiego. I to twoja wina, że on nie żyje.

– Aha. – Ben, musisz mi wszystko powiedzieć. Wszystko. Obiecałeś, więc czekam.

– Dobrze. Naprawdę nazywam się Ben McKinnon.

– Wiem, bo nie reagowałeś na inne nazwiska. Popatrzył na nią z powagą.

– Pracuję w amerykańskim wywiadzie.

– W CIA?

– Nie.

– Możesz to udowodnić?

Z wewnętrznej kieszeni spodni wyjął coś, co wyglądało jak dowód osobisty. W legitymacji też było takie zdjęcie jak w paszportach. Storm obejrzała dokument ze wszystkich stron i oddała.

– Przed trzema miesiącami – podjął Ben – polecono mi jechać do Cressady, w której zapowiedziano pierwsze demokratyczne wybory. Moje zadanie polegało na ochranianiu Noela Easta, jedyne go człowieka, który odważył się wystąpić jako kontrkandydat członka despotycznej rodziny, rządzącej krajem od niepamiętnych czasów. Na ogół nie przyjmuję takich zleceń, ale tym razem zdecydowałem się, bo...

– Spodobał ci się pan East, prawda?

– Tak, bardzo go ceniłem. – Spochmurniał. – Krótco przedtem owdowiał, jego żona umarła przy porodzie. Czasem zastanawiałem się, czy wysunął swoją kandydaturę, bo po jej śmierci nie widział sensu życia.

– Przecież miał dziecko!

– Dla którego zrobiłby wszystko.

– Wspomniałeś coś o tym.

– O?

– Mówiłeś, że zastanawiał się, czy spełnią się jego marzenia co do przyszłości dziecka, jeśli zapłaci za nie najwyższą cenę.

– Tak, o to chodziło.

– Pragnął dla dziecka lepszego życia.

– Chciał, by jego syn miał to wszystko, co my uznajemy za oczywiste: wolność, dobrobyt, sprawiedliwość. Wiesz, człowiek nie zdaje sobie sprawy z tego, co ma, dopóki nie zobaczy, jak jest gdzie indziej.

– Pod twoją dość cyniczną maską kryje się idealista, który chciałby ulepszyć świat.

– Nie sądziłem, że jestem cyniczny.

– Może rozgoryczony...

– O to też siebie nie posądzałem. Ale wracajmy do Noela. Jego partia przydzieliła mu strażnika i ten go zastrzelił.

– Zabił go człowiek, który miał go ochraniać?

– Tak.

– O mój Boże!

– Starczy ci tyle informacji? Widzisz, daleko stąd jest wielki i okrutny świat.

– Wiem. Ale co to wszystko ma wspólnego z Rockiem?

– Rządząca partia jest okrutna. Może zechce pokazać ludziom, że nie życzy sobie, żeby ktokolwiek zajął miejsce Noela.

– I chcą zabić niemowlę? Nie wierzę, żeby posunęli się aż do tego.

– Przysięgam, że strzelali do mnie, bo uciekałem stamtąd z dzieckiem Easta.

– Czyli to rana postrzałowa...

– Miałem szczęście, że kula mnie tylko drasnęła.

– Jak długo będą szukać Rockiego?

– Trudno powiedzieć, bo gdy wyjeżdżałem, zanosiło się na wojnę domową. Rozpuściłem wici i za tydzień chyba będę miał dla malca pewną kryjówkę, jeśli tu nie jest bezpieczny.

– Boisz się, że i u mnie jest zagrożony?

– Tak.

– Jak zdołałeś uciec?

– To długa historia. Przedarłem się przez dżunglę do sąsiedniego kraju, skorzystałem ze znajomości, żeby wyrobić dziecku papiery i miałem do wyboru albo Islandię, albo Kanadę. W Kanadzie już kiedyś byłem.

- Mówiłeś w malignie. Czyli naprawdę znasz te strony?
 - Tak.
 - Więc jeśli się zgodzę, zostaniesz tu przez tydzień?
 - Tak. W lesie zostawiłem radio. Za tydzień sprawdzę, jak moje sprawy stoją i pojedę dalej.
 - Czy ktoś cię śledził?
 - Chyba nie, ale nigdy nie wiadomo...
 - Dlaczego nie szukałeś pomocy u władz?
 - Noela zabił człowiek, któremu ufałem. Nie zaufam nikomu więcej. Obiecałem Noelowi...
 - Co mu obiecałeś?
 - Że zaopiekuję się jego synem i dopilnuję, żeby miał inne życie niż jego rodzice. – Obrzucił ją baczny spojrzeniem. – Czy teraz ja mogę zadać kilka pytań?
 - Tego nie było w umowie.
 - Czy naprawdę masz na imię Storm?
 - Nie. Prawdziwe to Shauna, ale urodziłam się u stóp tej góry i mam dość wybuchowy temperament. Bracia tak mnie przezwali, gdy byłam mała. Zostało do dziś.
 - Wybuchowy temperament? – powtórzył, dotykając śladu pięści na policzku. – Mam dowód.
 - No tak, trochę przesadziłam... Wychowali mnie bracia, bo rodzice zginęli podczas pożaru.
 - Serdecznie ci współczuję.
 - Byłam za mała, żeby cokolwiek pamiętać. Moi bracia są wspaniali i na pewno by ci się podobali.
- Pomyślała, że i on przypadłby im do gustu, lecz tego nie powiedziała.
- Mogę zadać jeszcze jedno pytanie?
 - Tak.
 - Na kim ty się zawiodłaś?
- Zachnęła się, Jak gdyby ją uderzył, Pytanie padło znienacka, a nie lubiła, gdy ktoś wtrącał się w jej osobiste sprawy.
- Ty jesteś obolały, a nie ja – odparła wymijająco.
 - Mężczyzna?

Odwróciła głowę i popatrzyła w okno.

– Co ci zrobił?

– Nie był wolny.

– Żonaty?

Bez słowa skinęła głową. Ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

– Wiedziałaś, że jest żonaty?

– Nie! Nie przyznał się.

– Drań – syknął z pogardą.

– Co ci do tego?

– Chcę, żebyś wiedziała, że nie wszyscy mężczyźni są tacy.

– Dziękuję za informację, ale sama już wcześniej o tym wiedziałam.

– Dlatego ukrywasz się w górach?

– Wcale się nie ukrywam!

– Ale tak to wygląda.

– Naprawdę? Czy wyjazd do Cressady też był sposobem na ukrywanie się?

– Może – odparł z lekkim uśmiechem. ~ Dlaczego tak się dopytujesz?

– Bo może się zdarzyć, że będziesz musiała mi zaufać. Dlatego chcę, żebyś wiedziała, że cię nie oszukuję i nie jestem taki jak on.

– No pewnie. Ty masz sto imion.

– Twój żonaty przyjaciel miał tylko jedno, prawda?

– Co to ma do rzeczy?

– Pomyśl. Czasami serce wie lepiej niż rozum.

– Zostanę przez tydzień, bo przydam się dziecku. Może i tobie. Ale nie oczekuj, że będę ci ufać.

– Nawet jeśli od tego będzie zależeć twoje życie? Wtedy też mi nie zaufasz?

Spojrzała mu w oczy i po namyśle rzekła:

– Wtedy chyba ci zaufam.

– Czy wobec tego mogłabyś mi oddać pistolet?

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Czemu chcesz mieć go pod ręką?

Błękitne oczy znowu były tak nieufne, jak pierwszego dnia. Ben zorientował się, że zrobił fałszywy krok i stracił tę odrobinę zaufania, jaką zyskał podczas szczerzej rozmowy.

– Boisz się mnie? Uważam, że lepiej, żebym miał pistolet przy sobie. Jak myślisz, dlaczego chcę go dostać z powrotem?

– Nie będę zgadywać. Sam mi powiedz, do czego jest ci tu potrzebna bród.

– Chcę być zabezpieczony, na wypadek gdyby zjawiły się tu ciemne typy z Cressady. Chyba już się przekonałaś, że tobie z mojej strony nic nie grozi. Znasz cały mój życiorys.

– Czyżby twoje życie skończyło się w wieku szesnastu lat?

Nie wiedziała, jak blisko jest prawdy. Gdy miał szesnaście lat, jego rodzice rozwiedli się, co dla niego było końcem świata. To wtedy zaczęło się stopniowe zabijanie w sobie uczuć. Dał się zwerbować do obecnej pracy, głównie dlatego że wymagano rezygnacji z uczuć, oczekiwano dławienia tak niepożądanych emocji, jak czułość i miłość.

Storm odebrała jego milczenie jako zakończenie rozmowy, więc wstała.

– Trzeba wykopać dziecko. Umiesz to robić?

– Nie, ale kiedyś miałem szczeniaka, którego zawsze sam kapałem i...

– Wiem, wabił się Caboo.

– Czyżbym wyjawiał wszystkie sekrety?

– Mnie pytasz?

Ben pochylił się i rękawem otarł Rockiemu brudną buzię. Miał nadzieję, że przynajmniej jednej tajemnicy nie wyjawiał, a mianowicie tego, że dziecko budzi w nim dziwny ból serca. Jakby tęsknotę za innym życiem, w którym jest miejsce na ciepło, odrobinę szczęścia... może nawet miłość.

Wstydził się przed samym sobą, że sam widok konia obudził w nim tęsknotę za życiem, z którym dawno zerwał. W malignie

nawiedzały go obrazy z dzieciństwa i wspomnienia dni spędzonych w siodle.

Najbardziej zaniepokoił go fakt, że Storm budzi w nim uczucia, o których w ogóle nie chciał myśleć.

– Chyba już wiesz wszystko – skłamał.

– Nie wierzę... Mój pies by się obraził, gdybym nazwała go Caboo.

– Według mnie to całkiem dobre imię. Bardzo pasowało do mojego psa.

– Często go wołałeś. Co się z nim stało?

Pomyślał, że Caboo był jego najwierniejszym przyjacielem i jedyną żywą istotą, którą z żalem zostawił, gdy opuszczał dom rodzinny. Zapewne dlatego tak głęboko zapadł mu w serce i przypominał się w chwili słabości.

Rzadko zastanawiał się nad tym, na ile utrata ojca, domu i psa wpłynęła na to, że nie mógł nigdzie zagrześć miejsca i nie chciał założyć rodziny. Teraz jednak zatęsknił za własnym gniazdem. Widocznie choroba osłabiła go i dlatego przychodziły mu do głowy podobne myśli.

– Kąpanie dziecka chyba niezbyt różni się od kąpania psa – rzekł niedbale. – Potrzebna ciepła woda i mydło. Mam specjalne mydło dla niemowląt.

Wyjął z plecaka czystą koszulkę, śpioszki oraz mydło, które kupił podczas jednego z nielicznych postojów w drodze z Cressady do Kanady.

– Proszę. Robione według specjalnej receptury. Storm zerknęła na cenę i zrobiła wielkie oczy.

– Aż tyle zapłaciłeś?

– To dużo? – zdziwił się. – Rockie ma bardzo delikatną skórę.

Za późno zorientował się, że Storm doprowadziła go do tego, iż zdradził, ile dziecko dla niego znaczy. Wpadł w umiejętnie zastawioną pułapkę. Chciał czym prędzej schować buteleczkę specjalnego szamponu dla niemowląt, ale Storm była szybsza i wyjęła mu ją z ręki. Uśmiechnęła się pobłaźliwie, więc pomyślał, że nie ma mu tego za złe, może zmieni zdanie o nim i odda

pistolet. Postanowił zaczekać i po kąpieli jeszcze raz poprosić.

Kąpiel okazała się skomplikowanym przedsięwzięciem. Storm postawiła kilka garnków z wodą na piecu, w którym ogień tak buzował, że w domku zrobiło się gorąco jak w piekle.

– Po co tyle wody? – spytał, gdy przyniosła wiadro. – Przecież to małe dziecko – Ale ty jesteś duży.

– Co proszę?

– Najpierw wykąpiesz dziecko, a potem siebie. Spojrzał na nią niezadowolony, że mu rozkazuje. Storm uśmiechnęła się promiennie, napełniła dużą miskę letnią wodą i podała mu niemowlę.

– Proszę, ty masz większe doświadczenie niż ja. Skrzyżowała ręce na piersi i obserwowała, jak rozbiera dziecko i ostrożnie wkłada do miski. Rockie uśmiechnął się i zaczął rozpryskiwać wodę na wszystkie strony.

– Trzeba go mocno trzymać, żeby się nie wyrwał – poinformował Ben z powagą.

– I co by mógł zrobić? Odpłynąć?

Rzucił jej gniewne spojrzenie, ponieważ nie rozumiała, jak ważne zadanie wykonuje. Beztrosko popryskala niemowlę, które gaworzyło zadowolone i coraz mocniej machało rączkami i nóżkami. Wkrótce oboje byli ochlapani.

– Nie przeszkadzaj – zirytował się Ben. – Nie widzisz, jak trudno go myć?

Zamiast posłuchać, prysnęła mu wodą w oczy. Zerknął na nią z ukosa, przytrzymał dziecko jedną ręką, a drugą z całej siły uderzył w wodę. Storm zaśmiała się rozbawiona, otarła twarz i podeszła do pieca.

– Już ciepła – rzekła, napełniając wiadro.

– Uważaj, mam dziecko. Postąpiła krok ku niemu.

– Pożałujesz – ostrzegł. – I będziesz musiała wycierać podłogę. Dla kobiet podłoga jest najważniejsza.

– Dla mnie me.

Chlusnęła wodą i oblała go od stóp do głów.

– Odplącę ci, zobaczysz! – krzyknął, starając się nie upuścić

dziecka.

Storm roześmiała się perliście i zdjęła z pieca drugie wiadro. Ben wyjął niemowlę i przytulił do piersi.

– Jeden prysznic wystarczy. Przestań.

Skoczył ku drzwiom, ale Storm była szybsza i zdążyła oblać mu plecy.

– Widzę, że chcesz ze mną wojować.

Powoli wycierał dziecko, obmyślając zemstę. Ubrał Rockiego i posadził na materacu, który okazał się suchy. Odwrócił się, przekonany, że Storm skryła się w kącie ze strachu przed rewanzem. Tymczasem trzymała w rękach miskę i szczyrzyła zęby w przewrotnym uśmiechu, czym zniweczyła jego plan. Jednym susem doskoczył do niej. Przez chwilę wrywali sobie miskę, ale był silniejszy, podniósł ją do góry i oblał Storm, trzęsącą się ze śmiechu. Przysunęła się, aby trochę wody spłynęło na niego. Objęła go, myśląc, że od razu przestanie, ale się przeliczyła, ponieważ wylał wodę do końca. Chciała się odsunąć, lecz jej nie pozwolił i wziął ją na ręce. Oczy jej się śmiały, była piękna, mimo że woda kapiała jej z nosa i brody. Nie pamiętał, kiedy zdarzyły mu się takie bez troskie chwile. Ruszył w stronę drzwi.

– Co robisz? – zawołała.

– Wdziałem koryto pełne wody.

– Nie odważysz się!

– Czemu?

– Bo woda jest zimna.

– Co z tego?

Zacząła się szamotać i wrywać, ale bezskutecznie. Na środku polany Ben rzekł:

– Może chcesz zawrzeć porozumienie, zanim dojdę do koryta?

– To znaczy?

Była pewna, że znowu poprosi o pistolet, więc popatrzyła na niego podejrzliwie. Rzeczywiście miał zamiar odzyskać broń, lecz się rozmyślił. Wolał nie ryzykować. Postanowił ją zaskoczyć.

– Obiecuj, że przez cały dzień będziesz bez szemrania

przewijać Rockiego.

– Warunek nie do przyjęcia.

– Nie, to nie.

Doszli do płotu. Konie przestały skubać trawę i uniosły łby. Ben pochylił się nad korytem tak nisko, że Storm zamoczyła włosy. Schwyciła go kurczowo za szyję.

~ Po raz ostatni pytam: zajmiesz się dzieckiem?

– Nie zaprzędam duszy diabłu!

Objęła go rękami i nogami, gwałtownie szarpnęła się do tyłu. Tego się nie spodziewał, więc oboje wpadli do lodowatej wody. Storm puściła go i zaczęła rozpaczliwie chwytać powietrze. Ben błyskawicznie się zerwał i wyciągnął ją z wody. Stali w korycie i patrzyli na siebie wrogo.

– Jesteś nieobliczalna.

– Bracia też uważają, że nie jestem potulna. Jeszcze się dziwisz, że przewali mnie Storm?

– Już nie.

Sam podszedł do koryta i popatrzył na nich, jakby chciał zrozumieć, co się dzieje.

Ben zauważył, że Storm dygoce z zimna, więc ją przytulił. To był kolejny błąd, ponieważ jej miękkie ciało zdawało się wtapiać w niego.

Storm roześmiała się serdecznie, zdała sobie sprawę, że takie rozładowanie napięcia było im potrzebne. Ostatnie dwa dni były dla niej trudne; najpierw pojawił się uzbrojony człowiek, który zamierzał ją uwięzić, ale się rozchorował, więc chciała go związać, lecz nie zdążyła.

Benowi też dobrze zrobiła zimna kąpiel, Przez długie lata wiódł bardzo niebezpieczny żywot, a ostatnie dni były straszne. Po takim napięciu beztrouski śmiech odprężył ich.

Teraz już nie byli więźniami, więc należało zmienić taktykę i nawzajem sobie zaufać.

Tak byłoby najlepiej.

Zastanawiał się, czy może teraz jest odpowiednia chwila, aby spróbować odzyskać pistolet. Nie, lepiej nie psuć takiego

momentu. Postawił Storm na ziemi, żałując, że nie zyskał nawet tego, iż wyręczy go w przewijaniu dziecka. Zauważył, że jest bez butów, więc ponownie wziął ją na ręce.

– Postaw mnie! – zawołała rozkazująco.

– Szkoda skarpetek.

– Co tam skarpetki. Postaw mnie!

– Nie.

– Jesteś potwornie oparty.

– Ja? Gdybyś ty nie była takim uparciuchem, tobyś się zgodziła przewijać Rockiego.

– Przypominasz mi muła, którego kiedyś miałam.

– Jak się nazywał?

– Chyba Ben.

– Nie wierzę.

– Może jakoś inaczej. Moe.

– Co za okropne imię. Gorsze niż Caboo.

Udając smutek, pokręcił głową, ale cieszył się, że mówią od rzeczy. Nie pamiętał, kiedy czuł się taki wolny i beztroski.

Może wiele, wiele lat temu... Czy to było podczas pierwszego pobytu tutaj?

Spędził tu kilka dni tylko z ojcem. Przyjechali na krótko, aby trochę odpocząć od depresji matki. Nie wiodło im się jako myśliwym, ale było wesoło. Całymi godzinami wędrowali po górach, a potem rozpalali ognisko, grali w karty, śpiewali.

Rozejrzał się zdumiony. Może to miejsce jest zaczarowane? Może strzegą go dobre duchy?

– Nie sądziłam, że mam do czynienia ze znawcą imion dla zwierząt – odezwała się Storm. – Czy jest coś, na czym się nie znasz?

Tak. Nie znał się na sprawach serca, ale do tego nikomu się nie przyznawał. A może i z tym się zdradził?

W domu Storm natychmiast pobiegła do dziecka i podniosła je wysoko do góry, a wtedy mokra bluzka oblepiła jej ciało. Ben chrząknął i odwrócił wzrok.

Razem ubrali Rockiego, wytarli podłogę i nastavili wodę na

następną kąpiel. Storm rozpuściła włosy, aby prędszej wyschły. Za przepierzeniem przebrała się w suche rzeczy, a mokre powiesiła na hakach koło pieca. Włożyła flanelową męską koszulę, stanowczo za dużą, więc zawiązała ją na brzuchu. Widać było pępek.

Ben starał się nie patrzeć ani na jej pępek, ani na wiszącą bieliznę. Zaszło mu w gardle i zrobiło się gorąco, więc był zadowolony, że ma mokre ubranie, które go trochę chłodzi.

Storm zdjęła ze ściany dużą wannę, po czym wzięła niemowlę i śpiwór.

- Idziemy na słońce.
- Nie umyjesz mi pleców?
- Chyba różgą.
- Sadystka.

Zaczerwieniła się jak piwonia i prędko wyszła, głośno zamykając drzwi.

Ben zamyślił się. Chciał zrozumieć, dlaczego taka piękna kobieta jest sama i dlaczego zaczyna komplikować mu życie. Aby przywołać się do porządku, przypomniał sobie, że riie jest na wycieczce. Musi myśleć tylko o sprawach służbowych i powinien wykorzystać okazję, że Storni nie wejdzie. Rozebrał się i rozwiesił rzeczy na krzesłach koło pieca. Owinął biodra ręcznikiem i kolejno przejrzał wszystkie szuflady i zakamarki w poszukiwaniu pistoletu. Przesunął talerze na półkach, zajrzał do worka z mąką i skrzyni z drewnem na opał. Nigdzie nie dostrzegł śladu broni. Chciał pomyśleć kategoriami Storni, a zamiast tego oczami wyobraźni zobaczył, jak wciąga go do koryta. Doszedł do wniosku, że nawet gdyby wysiłał się przez sto lat, nie wpadnie na trop jej rozumowania. Łudził się, że gdy wydobrzeje, uda mu się odgadnąć, gdzie schowała pistolet.

Storm rozłożyła śpiwór na trawie i rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś zabawki. Na ganku leżała okrągła metalowa puszka, w której trzymała klamerki do bielizny. Usiadła na śpiworze, zamknęła puszkę i lekko popchnęła w stronę dziecka. Puszka potoczyła się z hałasem, a Rockie rozpromienił się na

widok zabawki. Po chwili bawił się już sam, więc Storm zaczęła rozczesywać mokre i splątane włosy. Zawstydziała się, że marzy o suszarce, wałkach, cieniach do powiek. Związała koszulę na brzuchu, ponieważ chciała podobać się Benowi. Pragnęła wyglądać bardziej kobieco.

Gdy śmiali się i przekomarzali, miała wrażenie, jakby zbudziła się po długim śnie. Tłumaczyła sobie, że musiała odreagować przykrości, jakie ostatnio przeżyła. Czy tylko? Gdy Ben przytulił ją do piersi, ogarnęło ją uczucie, jakiego dotąd nie zaznała. Dopiero w jego ramionach uświadomiła sobie, że jest delikatną kobietą.

Przy Dorianie nigdy nie doznała takiego uczucia, chociaż prawil wyszukane komplementy i zachwycił się jej urodą. Pochlebiali jej, że go oczarowała, a niemal przewróciło się jej w głowie, gdy zauważyła, jaką ma nad nim władzę. Lecz nie zamierzała uwodzić żonatego człowieka i nie chciała zabierać męża innej kobiecie. Taka władza zupełnie jej nie odpowiadała.

To, co przeżyła w Edmonton, zbladło w porównaniu z obecnymi doznaniem. Nagle zapragnęła przeżyć wszystko, co przeżywają inne kobiety.

Pokręciła głową niezadowolona. Uznała, że reaguje w ten sposób, ponieważ ma złamane serce i przecenia zwykłe sprawy. Obie sytuacje były podobne, więc powinna mieć się na baczności. Musi zachować trzeźwą głowę w kontaktach z Benem. To prawda, że jest wspaniale zbudowany, ale nie budzi zaufania i dlatego powinna być ostrożna.

Usłyszała odgłosy, jakby ktoś otwierał i zamykał szuflady. Po chwili to samo. Wyteżyła słuch. Teraz brzęk porcelany i stukot, jakby kawałki drewna spadały na podłogę. Zaraz potem szuranie przesuwanej skrzyni.

– Aha, mój tajemniczy gość szuka pistoletu.

Zakląła pod nosem. Zirytowało ją, że przed chwilą śmiał się beztrosko, a teraz wykorzystuje moment, iż jest sam i przeszukuje pokój.

Widocznie nie bardzo się zmartwił, że nic nie znalazł, gdyż

wesoło pogwizdywał. Usłyszała plusk wody, gdy usiadł w wannie. Starła się nie wyobrazić” go sobie w kąpeli, lecz wyobraźnia nie była posłuszna.

Znów wzięła grzebień, aby inaczej się uczesać, zrobić elegancką, misterną fryzurę. Bała się jednak, że bez lustra uczesze się krzywo i będzie wyglądała śmiesznie, więc jak zwykle związała włosy w koński ogon i zaczęła bawić się z Rockiem.

– „Co zrobimy z pijanym marynarzem?” – zaśpiewał Ben.

Na dźwięk jego głosu niemowlę Obejrzało się i uśmiechnęło, a Storm ścisnęło się serce. Rockie wydał kiłka dźwięków, jakby i on chciał śpiewać. Zrobił zachwyconą minę, gdy Storm zanuciła, a rozanieloną, gdy zaśpiewała pełnym głosem. Uświadomiła sobie, że gotowa jest stanąć na głowie i robić komiczne miny, byle tylko dziecko się do niej uśmiechało.

W odpowiednim momencie zaśpiewała na całe gardło:

– „Wrzucimy go do koryta, żeby otrzeźwia!”

– To inne słowa – zawołał oburzony Ben.

– Ale pasują, jak ulał.

Pomyślała, że Ben siedzi nago w jej wannie i oblała się rumieńcem.

– Shauna – rzekła surowo. – Jak ty się zachowujesz? – Popatrzyła na dziecko. – Czemu masz taką zadowoloną minę? Ty też coś sobie wyobrażasz?

Położyła się na plecach i rozmarzona patrzyła na obłoki.

– Teraz będzie coś specjalnie dla ciebie – zawołał Ben. – Na ogół śpiewam bez dedykacji, ale dziś zrobię wyjątek. Skoro tak mnie prosisz...

– Nie prosiłam. Nigdy nikogo o nic nie proszę!

– Mogę sprawić, że się nauczysz!

– Nie uda ci się! – odkrzyknęła, chociaż wcale nie była tego pewna, – Znam niezawodny przepis!

To jej uprzytomniło, że Ben ma życie, o którym ona nic nie wie. Może żył jak James Bond i miał wiele przygód? Pewno zawsze otaczały go piękne kobiety, które szalały za nim, nie tylko gdy był taki swobodny i beztroski jak tutaj.

- Jaki przepis? Kulinarny?
- Lody z owocami i bitą śmietaną.
- No, to śpiewaj.
- A nie mówiłem, że będziesz mnie błagać na kolanach?
- Wcale nie klęczę.

Nie miał szkolonego głosu, lecz to mu nie przeszkadzało i z zapalem śpiewał jedną piosenkę po drugiej.

Storm zamknęła oczy i chyba się zdrzemnęła. Zbudziła się, gdy poczuła obcy zapach. Nim otworzyła oczy, zorientowała się, co jest źródłem owego zapachu. Mocniej objęła niemowlę i powoli uniosła powieki. Przy nich stał śliczny niedźwiadek. Zachwyciłaby się nim, gdyby nie świadomość, że tam, gdzie jest młode, jest i matka. I że niedźwiedzice mają bardzo silny instynkt macierzyński.

Niedźwiadek ciekawie obwąchiwał swego ludzkiego rówieśnika, a Rockie gaworzył po swojemu i radośnie się uśmiechał.

- Idź stąd – szepnęła zbielełymi wargami.

Kątem oka dostrzegła zbliżającą się niedźwiedzicę. Skoczyła na równe nogi i porwała dziecko tak gwałtownie, że niedźwiadek się przewrócił. Pobiegł do matki z piskiem, a niedźwiedzica stanęła na tylnych łapach i groźnie wyszczerzyła kły.

Storm nie była bojaźliwa, lecz teraz z jej gardła wyrwał się krzyk. Przestraszony Rockie zaczął płakać.

Drzwi się otworzyły i wyskoczył Ben, który błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Złapał dubeltówkę i z wrzaskiem pognął w stronę niedźwiedzicy. Zwierzę popatrzyło na niego zaskoczone, opadło na cztery łapy, odwróciło się i powoli odeszło.

W innej sytuacji Ben wyglądałby śmiesznie, ponieważ biodra miał owinięte ręcznikiem i nie skończył się golić, więc na jednym policzku zostały resztki piany. Twarz miał szarą jak popiół.

- Nic ci nie jest? – zawołał.
- Nie... – Storm czuła, że serce wali jej jak oszalałe. – Strzelba... nie ma... naboju.
- Coo? – Zaklął siarczyście. – Czy tu często jest tak...

ciekawie?

Nic nie odpowiedziała. Nie mogła oderwać oczu od jego nagiego torsu. Ben przypomniał sobie, że jest nie ubrany, uśmiechnął się krzywo i mocniej zawiązał ręcznik.

– Osobliwy strój. W sam raz odpowiedni na polowanie na grubego zwierza – stwierdziła po chwili.

– Następnym razem nie będę się spieszył i włożę garnitur. – Bardzo słusznie.

Otarła dziecku łzy, pocałowała rumiane policzki i weszła do domku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wszedł za nią do środka i głośno trzasnął drzwiami, jakby chciał podkreślić, że zabawa się skończyła.

– Dobrze, więcej nie będę starał się być miły – burknął. – Gdzie mój pistolet?

– Ani przez moment nie byłeś miły – rzuciła gniewnie Storm.

Poczuł się, jakby go uderzyła w serce. Jak to? Spędzili pół dnia śmiejąc się i przekomarzając, a ona nie uważa, że był miły? Zaśpiewał dla niej swoje ulubione piosenki; wprawdzie nie pod balkonem, jak trubadur, lecz w wannie, ale jednak. Widocznie po namyśle obraziła się za to, że wrzucił ją do koryta.

Postanowił odtąd mieć się na baczności i nie pozwalać sobie na chwile beztroski. Przecież nie zjawił się tu dla przyjemności. Miał obowiązek zapewnić bezpieczeństwo sierocie. A teraz i kobiecie, którą mimo woli wciągnął w swoje sprawy.

Przypomniał sobie, co robił, zanim pobiegł na ratunek. Zdążył się umyć, wyjść z wanny i zacząć się golić. Namydlił twarz zwykłym mydłem, czego nie lubił, i wyteżył wzrok, aby zobaczyć coś w zmatowiałym ze starości lusterku. Niewiele brakowało, a byłby się zaciął, gdy usłyszał przeraźliwy krzyk.

Wystraszył się, że znowu on zawinił, ponieważ przestał ich pilnować i wpadli w zasadzkę. Rzucił się do drzwi przekonany, że ujrzy tajnych agentów z Cressady i najętych przez nich zbirów, którzy już zdążyli porwać jego dziecko.

Jego dziecko? Dlaczego tak pomyślał? Już samo to świadczyło, że zatracił konieczną obojętność do zleconego zadania i zaangażował się uczuciowo. Gdzie podział się dystans, z jakim traktował inne zlecenia i który pomagał mu wybrnąć z najtrudniejszych sytuacji?

Ulżyło mu, gdy zobaczył, że niebezpieczeństwo nie jest takie straszne, jak sobie wyobrażał. Zagroził im tylko niedźwiedź! Bez namysłu wybiegł na polanę, wymachując dubeltówką. Nie wiedział, że nie ma w niej ani jednego naboju, więc jest bezbronny.

Potem przeraził się, że postradał zmysły, ponieważ rzucił się na pomoc bez zastanowienia, nie myśląc o tym, co należy zrobić. Działał pod wpływem impulsu, emocji, a to w jego zawodzie było niewybaczalne. Ogarnęło go jakieś pierwotne, niezrozumiałe szaleństwo, które kazało mu pędzić na ratunek. Musiał przyznać ze wstydem, że tym uczuciem była po prostu wściekłość. Wpadł w szal, gdy usłyszał przerażenie w głosie Storm. Był za nią odpowiedzialny i nie mógł pozwolić, by ktokolwiek lub cokolwiek zrobiło jej krzywdę.

Wpadł z domku tak rozjuszony, że przestraszył niedźwiedzicę. Widocznie jego instynkt opiekuńczy był potężniejszy od przysłowiowego instynktu macierzyńskiego niedźwiedzic.

Dobrze, że zaraz po wyjściu z wanny okręcił się ręcznikiem. Gdyby nie to, rzuciłby się na niedźwiedzia nago i strzelałby z pustej dwururki.

– Mój pistolet – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Kiedy go dostanę?

– Nigdy.

Mimo ogarniającej go złości znów uległ czarowi błękitnych oczu, chociaż patrzyły bez cienia sympatii. Na pięknej twarzy okolonej niesfornymi lokami malował się zacięty upór.

– Widzę, że wcale nie zdajesz sobie sprawy, jak groźna jest nasza sytuacja – rzekł ostro.

– A ty sobie zdajesz? Broń, jaką mamy jest do niczego. Z pistoletu nie można zabić niedźwiedzia. Gdybyś strzelił, zraniłbyś samicę, a wtedy stałaby się naprawdę niebezpieczna. Chyba nie chcesz umrzeć w młodym wieku i w takim stroju, co?

Zacisnął pięści. Sądził, że Storm nie traktuje go poważnie, ponieważ jest prawie nagi, a na policzku ma resztki zastygłej piany.

– Ale chcę mieć przy sobie broń – syknął ostrym tonem, jakim przemawiał do nowicjuszy na kursach.

– Najpierw przebierz to twoje dziecko.

Patrzył na nią coraz groźniej. Mężczyźni bali się jego wzroku, trzęśli się ze strachu, gdy mówił takim tonem, a na niej nie robiło

to wrażenia. I dlaczego powiedziała: „twoje dziecko”? Widocznie miała przenikliwy wzrok. Nie zdołał ukryć, że przywiązał się do niemowlęcia i darzy je ciepłym uczuciem, chociaż nie powinien.

– Sam też się przebierz.

Podążyła mu Rockiego i odwróciła się. Nim zorientował się, co robi, szarpnęła róg ręcznika, który osunął się na podłogę. Okręcił się na pięcie, ale Storm już była na progu i głośno się śmiała.

Zazgrzytał zębami. Nie pojmował, dlaczego rano jej śmiech tak mu się podobał, a teraz go irytował. Rockie też się uśmiechał i radośnie gaworzył.

– Z czego, się cieszysz, skrzacie? – warknął niby groźnie.

Niemowlę uśmiechnęło się jeszcze szerzej, machnęło rączką i schwyciło go za włosy.

– Więcej szacunku, smyku.

Czy można wymagać szacunku, gdy jest się nagim i tylko na wpół ogolonym?

– Be, be, be.

– Be, be – przedrzeźnił, zastanawiając się, czy Rockie usiłuje wymówić jego imię.

Storm wzięła kapelusz, rozłożyła na trawie koc i położyła się. Zanim osłoniła twarz przed słońcem, zauważyła, że Ben ukradkiem wygląda przez okno.

– Ciekawe, czy wciąż paraduje nago – mruknęła pod nosem.

Przedtem jego widok ją bawił, a teraz speszyła się i zaschło jej w gardle.

Zdarta z niego ręcznik celowo, z premedytacją, ponieważ chciała mu pokazać, że ma wyrafinowane poczucie humoru i nie jest wiejską gąską. Ciekawe, czy zauważył, że nie odważyła się odwrócić i na niego spojrzeć.

Ten postępek miał go zmylić, aby nie domyślił się jej prawdziwych uczuć. Wstydziała się swego postępowania i tego, że ogarnął ją strach na widok niedźwiedzicy. Zachowała się jak tchórz. Pierwszy raz w życiu zdarzyło się jej tak przeraźliwie krzyknąć. Dotychczas polegała wyłącznie na sobie i nie liczyła na mężczyzn.

Przypomniała sobie zachowanie ciotki Sally. Kiedyś była świadkiem, jak ciotka spokojnie, bez mrugnięcia okiem, wypędziła z kuchni mysz. Kilka dni później ta sama ciotka stała na stole i przerażona krzyczała wniebogłosy, a wuj biegał po kuchni z miotłą i usiłował przechytryć zwinną myszkę.

– Niedźwiadek to nie mysz – szepnęła na swe usprawiedliwienie. – Jest trochę większy.

Mimo to uważała, że postąpiła podobnie jak ciotka, ponieważ stała bezradnie i czekała na ratunek ze strony mężczyzny.

– Nie stałam bezradnie, bo natychmiast wzięłam Rockiego na ręce – pocieszyła się.

Tak, obecność dziecka niewątpliwie sprawiła, że myślała innymi kategoriami. Najważniejsze było jego bezpieczeństwo i dlatego postąpiła inaczej niż zwykle.

Uświadomiła sobie, że teraz też postępuje inaczej, a już nie ma dziecka jako wymówki. Co robi? Położyła się i wygrzewa na słońcu, a przecież ma dużo pracy. Na co czeka? Na to, żeby Ben kazał jej się czymś zająć? Trzeba opamiętać się i postępować normalnie.

Wstała i zdecydowanym krokiem weszła do domu. Ben już się ubrał, chociaż koszula i spodnie były wilgotne i pogniecione. Mogłaby pożyczyć mu suchą koszulę, ale tego nie zaproponowała. Nie był miły dla niej, więc nie widziała powodu, by być miłą dla niego.

Zerknęła na jego twarz; był ogolony i wyglądał teraz jak dyrektor fabryki. Oczy miał czujne i poważne. Włosy mu wyschły i pojaśniały, złote pasma przeplatały się z ciemniejszymi.

Niezdarnie zmieniał pieluszkę, więc powinna mu pomóc, ale nie kiwnęła palcem. Wyjęła płócienną torbę, do której włożyła herbatniki, ser, suszone mięso.

– Wybierasz się na wycieczkę?

Mówił lodowatym tonem i patrzył na nią tak nieufnie jak pierwszego wieczoru.

– Pójdę zobaczyć, jak wygląda trasa, którą najczęściej jeżdżę z gośćmi – odparła sucho.

– Idę z tobą.

– Po co? Żeby mnie pilnować, czy żeby śpiewem umilić mi pracę?

– Mówiłaś, że nie jestem miły...

– Jesteś antypatyczny, szczególnie gdy stawiasz żądania. Co chcesz teraz osiągnąć?

– Nic. Muszę dbać o twoje bezpieczeństwo.

– I po to potrzebny ci pistolet?

– Owszem.

– W lesie nic mi nie grozi.

– Niedźwiedzica nie wyglądała szczególnie przyjaźnie, a na pewno jest w lesie.

– Niejeden raz stałam oko w oko z niedźwiedziem i dałam sobie radę. Muszę pociąć zwalone drzewa, więc zabieram piłę łańcuchową, a ona. robi tyle hałasu, że wszystkie zwierzęta uciekają.

– Nie chodzi mi o niedźwiedzie.

Miała mu za złe delikatność i to, że jej nie wyśmiewa. Powinien drwić, że przechwala się odwagą, a na widok jednej niedźwiedzicy wrzeszczała jak opętana.

– Podejrzewam, że nie zdajesz sobie sprawy z zagrożenia. Wiem, jak to jest. W znanym otoczeniu człowiek czuje się bezpieczny i uważa, że nic mu nie grozi. Ja tak się czułem tego dnia, gdy zamordowano Noela.

– Głowę dam, że nikt nie będzie tutaj szukał jego syna.

– Ale moim świętym obowiązkiem jest czuwać.

– Dobrze. Weź dziecko i ruszamy w drogę. Umiesz obchodzić się z piłą łańcuchową?

– Raz widziałem coś takiego na filmie.

– To dużo! Weźmiemy konia, ale pójdziemy pieszo, bo droga będzie zawałona drzewami i co chwilę musielibyśmy zsiadać.

Najwięcej czasu zajęło przygotowanie rzeczy dla niemowlęcia. Ben przewidział wszelkie ewentualności i zabrał stos pieluszek, dwa kocyki, trzy butelki z piciem, smoczki, papkę. Zapakował nawet misia.

Storm wyprowadziła Barneya i przytroczyła piłę, pojemnik z benzyną oraz poszewkę, do której włożyli rzeczy Rockiego.

– Idziemy na zachód – oznajmiła.

Na skraju polany była przybita deszczułka z nazwą trasy: „Schody do nieba”. Storm zawstydziła się i najchętniej zerwałaby kawałek kory świadczący o tym, że lubi marzyć.

– Konno jedzie się tam godzinę, ale nam dojście zajmie więcej czasu – uprzedziła. – Idzie się ciągle pod górę, ale mam nadzieję, że na końcu zrozumiesz, dlaczego tak nazwałam tę trasę.

Gdy doszli do pierwszego świerka tarasującego drogę, Ben podał jej dziecko i odczepił piłę. Okazało się, że umie się nią posługiwać.

– Coś mi się zdaje, że piłę widziałeś nie tylko na filmie! – zawołała, przekrzykując hałas.

Posadziła Rockiego na kocyku i zamyśliła się. Ben znowu ją okłamał. Właściwie nie było to kłamstwo, a wykręt świadczący o tym, że nie lubi o sobie mówić. Gdyby nie to, że przez jeden dzień majaczył, nie wiedziałyby o nim nic. Dzięki jego niedyspozycji dowiedziała się o kilku istotnych sprawach. Dlatego wzbudził w niej sympatię i uznała, że nie jest złym człowiekiem.

– Nie myślałem, że jeszcze pamiętam tyle z tego, co robiłem w domu. Dawno nie miałem w ręce piły. Ostatni raz, gdy byłem twojego wzrostu... Wtedy piłowanie sprawiało mi więcej trudności niż teraz. Tobie nie jest za ciężko?

Obruszyła się, że uważa ją za słabeusza. Pewno dlatego, że wystraszyła się niedźwiedzia i krzyczała. Postanowiła pokazać mu, co potrafi. Rozejrzała się za zabawką dla dziecka. Rockie widział prawdziwego niedźwiadka, więc pluszowy miś przestał go bawić. Znalazła ładny, okrągły kamień, za duży, by dziecko mogło wepchnąć go do buzi. Położyła kamień na kocu i zabrała się do pracy.

Odcinała gałęzie szybko i sprawnie, lecz im szybciej pracowała, tym trudniej było dotrzymać kroku Benowi. Usunęli drzewo w rekordowym tempie, więc zastanawiała się, czy współzawodnictwo zawsze dodaje energii.

Powoli posuwali się pod górę, co kilkaset metrów przystając i w milczeniu usuwając drzewa. Tylko Rockie był zadowolony z wycieczki, bez przerwy gaworzył i bawił się szyszkami i kamyczkami. Odgłosy piłowania wyraźnie mu odpowiadały.

Nareszcie dotarli do punktu widokowego. Ben długo stał wpatrzony w panoramę rozciągającą się przed oczami. Gdy odwrócił się do Storm, na jego twarzy nie było śladu napięcia.

– Muszę przyznać ci rację.

– Ze nie oddałam pistoletu?

Posadziła dziecko na ziemi, sama też usiadła i plecami oparła się o pień” sosny.

– Mówię o widoku. Faktycznie człowiek ma wrażenie, jakby doszedł do bram nieba.

Na chwilę zamilkli rozmarzeni.

– Tutaj zwykle coś jemy – odezwała się, aby przerwać krępujące milczenie.

– Turyści są zachwyceni, prawda?

Usiadł obok niej. Zabrał wszystko dla dziecka, a zapomniał o jedzeniu dla siebie. Podała mu kanapkę, którą wziął zawstydzony.

– Dziękuję.

– Przyjeżdżają do mnie ludzie z całego świata. Z Afryki, Japonii, Grecji.

– Jak to się zaczęło?

– Po pierwsze, miałam ochotę być tutaj. Po drugie, chciałam zacząć zarabiać na siebie. Pomagam braciom w gospodarstwie, ale chciałam mieć coś własnego i nie być od nich zależna. Muszę zarobić tyle, żeby kupić własne ranczo.

Mówiła z dumnie uniesioną głową, ponieważ ci, którym się zwierzyła, na ogół komentowali, że to przerasta jej możliwości i nie osiągnie celu.

– Nie wątpię, że ci się uda. Spojrzała na niego zaskoczona.

– Naprawdę – rzekł z przekonaniem. – Ludzie dzielą się na tych, którzy tylko chcą coś zrobić i tych, którzy coś robią. Ty należysz do tej drugiej kategorii. Jeśli zdołałaś rozkręcić taki interes, prowadzenie gospodarstwa będzie zabawką. Tu dla jednej

osoby jest harówka. Robisz wszystko sama, mam rację?

– Tak. Czasami doprowadzam braci do szału, bo chcą mi pomóc, ale nie pozwalam. Martwią się o mnie.

– Rozumiem ich. Dobrze, że nie jestem twoim bratem. Zarumieniła się, ponieważ nie wiedziała, jak odebrać jego słowa. Zerknęła na jego usta i pomyślała, że rzeczywiście dobrze, iż nie są rodzeństwem.

– A co z tym kawałkiem ziemi, o którym marzysz? Też sama sobie poradzisz?

– Mam nadzieję. Podczas studiów chodziłam na kurs dla młodych rolników.

– Jakoś nie widzę cię na uniwersytecie. Pewno wszyscy koledzy się ciebie bali.

– Nie skończyłam studiów, bo nie mogłam wytrzymać w mieście.

– Gdzie byłaś?

– W Edmonton.

Starła się mówić obojętnie, lecz widziała po jego minie, że domyślił się prawdy.

– Większość ludzi zachwyca się miastem.

– Ja nie należę do większości.

– Nie możesz wybaczyć temu łajdakowi, przez którego zraziłaś się do mężczyzn?

– On nie ma z tym nic wspólnego.

– Widzę po twoich oczach, że jednak ma. Uważasz się za niezależną kobietę, która wszystko potrafi zrobić sama. Nie chcesz drugi raz wpaść.

– Nie wiedziałam, że jesteś psychologiem. Zresztą z jakiej racji mnie krytykujesz? Ty też samotnie idziesz przez *i* życie, prawda? A może jednak gdzieś czeka na ciebie ukochana kobieta?

– Nie. Moja praca wyklucza wiązanie się z kimkolwiek. Serce Storm na chwilę przestało bić.

– Ze mną jest podobnie – szepnęła.

– Nie bierz przykładu ze mnie, dobrze ci radzę. Pewnego dnia obejrzysz się za siebie i będziesz żałowała...

– To znaczy, że żałujesz?

Nie odpowiedział, długo patrzył w dal. Gdy spojrzął na nią, dostrzegła w jego oczach przeraźliwą samotność. Ben zorientował się, że znowu się zdradził, więc prędko nałożył maskę.

– Kto ciebie zranił? – odważyła się zapytać.

– Nikt. Po prostu za wcześnie poznałem prawdę o życiu. Na ogół mamy poszufladkowane życie. W jednej szufladce praca, w drugiej sport, w trzeciej podróże, w czwartej bliscy, rodzina. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak.

– Dla mężczyzny związek z kobietą to jedna szufladka, a nie całe życie. Natomiast kobieta chce, żeby ich związek był dla niego wszystkim, bo dla niej to największa i najważniejsza szufladka, zresztą do innych też wpycha uczucia.

– Jesteś wrogiem kobiet?

– Czy to przestępstwo w tych pięknych stronach?

– Niewielkie. Kara: sto bizunów.

– Nie obracaj sprawy w żart. – Zerknął na nią i uśmiechnął się przewrotnie. – Dlaczego się rumienisz?

– Ja?

– Odwróciłaś się ode mnie, zanim zerwałaś ręcznik. To mi coś mówi.

– Nie masz ani sympatii, ani żony, więc nie udawaj, że jesteś znawcą kobiet. Skąd miałbyś wiedzieć, co myślą i czują?

– Może n/e jestem wielkim znawcą kobiet, ale wiem, że ty czekasz na tego jednego. No widzisz, zgadłem. Teraz naprawdę się czerwienisz. Czy z tym żonatym...

– Nie twoja sprawa!

– Racja, nie moja.

– Masz zwyczaj zadawać niedyskretne pytania, chociaż sam na żadne nie odpowiadasz. Czy to uczciwe?

– Pytaj, o co chcesz. Nawet o sprawy osobiste.

– Już pytałam, ale nie odpowiedziałeś. Kto cię zranił?

– Sądziłem, że powiedziałem wszystko w malignie.

– Betty Lou?

– Nie.

Pomyślała, że znowu jest sobą i nie chce nic mówić. Zaskoczył ją więc, gdy powiedział:

– To wina rodziców, że boję się wiązać uczuciowo. Byli niedobraną parą: młodziutka dziewczyna z miasta poślubiła prostego rolnika. Dla niej mąż był całym światem, więc chciała być tym samym dla niego. Nie przyjmowała do wiadomości, że nie jest najważniejsza, że dla ojca liczą się obowiązki związane z uprawą roli i hodowlą bydła. Przez siedemnaście lat wymawiała ojcu, że ją unieszczęśliwił, aż któregoś dnia go rzuciła.

– Współczuję ci.

– Ojciec był dobrym człowiekiem i naprawdę starał się, jak mógł. Miałem szesnaście lat, gdy się rozeszli. Matka chciała, żebym został z nią, a ojciec ją poparł: Pewno wolał, żebym opiekował się mamą. Mnie też się nie powiodło, bo mama widocznie nie potrafiła być szczęśliwa. Po rozwodzie jeszcze częściej wpadała w depresję.

Storm zdumiało, że tyle powiedział o sobie. Ledwo skończył, zrobił taką minę, jakby bardzo żałował.

– Na pewno wcale tego nie chciała – rzekła nieśmiało. – Pragnęła szczęścia, ale nie umiała go szukać. Przekonałam się sama w związku z Dorianem...

– Kto to Dorian?

– Ten żonaty oszust... Wiele osób nie potrafi dać szczęścia innym, bo najpierw trzeba znaleźć szczęście w sobie, a dopiero potem można dać je komuś bliskiemu. Ofiarować je jak cenny dar temu, z kim chce się być do śmierci.

– Storm?

– Co?

– Szczęśliwy będzie ten, z którym się zwiążesz.

– Nie spieszy mi się.

– Kiedy to było?

– Dwa lata temu.

– Rzeczywiście się nie spieszysz. Co między wami zaszło? Powiedz.

– Nie to, o czym myślisz.

– Więc co?

– Zostałam oszukana.

– Dałaś się oszukać, czyli popełniłaś błąd, a tego nie możesz sobie wybaczyć, prawda?

– Może – przyznała niechętnie.

– Czy tutejsi kawalerowie nie dobijają się do twoich drzwi?

– Nie ma wielu chętnych, bo najpierw każdy musi spotkać się z moimi groźnymi braćmi. A potem sama pokonuję ich podczas przeciągania rąk, więc boją się mnie jak ognia. Mężczyzn łatwo nastraszyć...

– To uogólnienie.

– A to, że kobiety szukają szczęścia tylko w mężczyźnie, nie jest uogólnieniem?

– Myślę, że ukrywasz się tutaj.

Sama niekiedy zastanawiała się nad tym, czy uciekła w góry przed życiem i troskami. Może istotnie chciała uniknąć kolejnej porażki i przegranej. Tutaj ona nad wszystkim panowała. Przynajmniej do niedawna.

Zerknęła na Bena spod rzęs. Czy przyznać mu rację? Czy rzeczywiście ukrywa się przed złymi ludźmi? A może tylko liże rany i czeka?

W pierwszej chwili chciała zaprzeczyć, ale zmieniła zdanie i postanowiła powiedzieć, co czuje.

– Może właśnie tutaj pracuję nad swoim szczęściem? Bo to... – Ręką zakreśliła szeroki łuk. – Ten widok daje mi spokój. Tutaj jestem naprawdę szczęśliwa.

– Chyba rozumiem, bo ja czuję podobnie. Jestem spokojny, zadowolony. Prawie szczęśliwy – Jeszcze tylko jedno wywołuje we mnie podobne uczucia, ale....

Urwała, ponieważ nie była pewna, czy powinna być szczerą.

– Co takiego?

– Rockie.

Ben spojrzał na dziecko i uśmiechnął się tkliwie.

– Na mnie też tak wpływa.

Odwrócił się do niej i z nienacka pocałował w usta. Pocałunek był krótki, ale wystarczył, by poczuła, że Ignie do tego pełnego tajemnic mężczyzny całą sobą. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Dlaczego to zrobiłeś? – szepnęła.

– Nie wiem. Może chciałem, żebyś coś poczuła.

– Co?

– Wszystko, czego nie znasz.

– A co ty czułeś?

– Że biorę trochę twojego szczęścia.

Widocznie zabrał dużo, ponieważ gdy wstała, wcale nie czuła się szczęśliwa. Była poruszona do głębi, jakby stanęła w obliczu jakiegoś wielkiego odkrycia. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Przepraszam – rzekł Ben cicho. – Nie powinienem.

– Faktycznie.

– Be, be, be – odezwał się Rockie.

– Słyszysz? Nawet dziecko cię krytykuje.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Pocałował kobietę, której właściwie nie zna! Zły na siebie, porwał siekierę i zabrał się do rąbania olbrzymiej sosny, leżącej w poprzek drogi. Niebawem wyładował trochę złości, ale pot łał się z niego strugami.

Odcinał gałęzie, mrużąc pod nosem:

– Człowieku, trzymaj się na dystans, zachowaj trzeźwą głowę. Pamiętaj o zadaniu, które musisz wykonać, pamiętaj o obowiązkach. Czy tylko ja ponoszę winę? Nie, ponieważ Storm przyprowadziła mnie na szczyt świata, wprowadziła po schodach do nieba. Widok tak mnie oczarował, że nie wiem, co robię.

Był zły, że opowiedział jej o konfliktach w rodzinie, chociaż dotąd nikomu o nich nie mówił. Nic nie zdradził psychiatrze, u którego wizyta była tak samo przymusowa, jak inne okresowe badania. Bez trudu wywiódł w pole dobrego lekarza i specjalistę, który potrafił wydobywać - z pacjentów największe sekrety. Kiedyś wyprowadził go też z równowagi, ponieważ uparcie mylił jego przezwisko z nazwiskiem. Osiągnął tyle, że przez kilka lat lekarz wystawiał zaświadczenie bez długiego wypytywania. Zwykle podsuwał pacjentowi jakieś czasopismo, a sam zajmował się pracą papierkową. Obaj byli zadowoleni.

Ben uważał, że o tragedii nie powinien wiedzieć nikt poza tymi, którzy byli w nią wplątani. Zastanawiał się, czy w oczach Storni jest coś takiego, co skłania ludzi do zwierzeń. Powiedziała mu, że jeśli wyrzuci z siebie wieloletni żal, będzie mu lżej na sercu i łatwiej wybierze inną drogę. Jaką drogę miałby wybrać?

Trrrach. Raz, dwa, trzy.

Znów mówił do siebie:

– Panie Kinnon, niechże pan się opamięta. Nie jest pan nastolatkiem, który może z łatwością zmieniać życiowe plany. To nic, że w pańskim zawodzie wielu rezygnuje po kilku latach i zaczyna życie od nowa.

Zastanowił się, co zrobiłby, gdyby miał wolny wybór. Na rodzinnym ranczu podobało mu się wszystko: hodowane

zwierzęta, ciężka praca, czyste powietrze. Jedynym minusem było to, że nie umiał oddzielić umiłowania ziemi od bólu, jaki sprawiały wieczne kłótnie rodziców.

Psychiatra byłby zachwycony, gdyby usłyszał takie rozważania. Trrrach. Raz, dwa, trzy.

Zaklął z cicha. Starał się skupić uwagę wyłącznie na tym, by prosto odcinać gałęzie, lecz myśli z uporem wracały do bolesnej sprawy. I do Storm. Obnażył przed nią duszę, zajrzał także do jej duszy i korciło go, aby naprawić zło wyrządzone przez Dorianą Storni dawała do zrozumienia, że po zawodzie, jaki ją spotkał, pragnie samotnie przejść przez życie. Zastanawiał się nad tym, o czym nie powinien nawet myśleć, a mianowicie, czy ma kochanka.

Niewiele brakowało, a odciąłby sobie kciuk. Na chwilę przestał rąbać, gdyż poraziła go myśl, że pojawił się w Kanadzie celowo. Z powodu Storm. Może wcale nie chodziło o Rockiego? Może przez całe życie szukał Storm i wreszcie ją znalazł? Dziecko tylko pomogło mu znaleźć drogę i dotrzeć do miejsca przeznaczenia.

Wszystkie okoliczności i to, co się zdarzyło, zdawało się prowadzić do tego miejsca w górach. Do pięknego zakątka u bram nieba.

Widok był naprawdę niebiański; sinawe szczyty ciągnęły się w nieskończoność, stoki były porośnięte zielonymi lasami, a w dolinach lśniły jeziora niby szmaragdy i turkusy. Niezwykle piękny widok dawał człowiekowi złudzenie, że jest w niebie.

Złudzenie trwało, póki nie dotknął ust Storm. Wtedy okazało się, że istnieje jeszcze inne niebo.

Wmawiał sobie, że postąpił słusznie i że to był dobry uczynek, podobny do przeprowadzenia przez jezdnię staruszki. Altruistyczny postęp. Chciał pokazać Storm, czego jej brak i tym samym ją wyzwolić. Chciał uświadomić jej, że namiętność jest jednym z cudów świata, więcej wartym niż wspaniałe widoki, jaki mu pokazała.

Postąpił bez zastanowienia, więc nie wiedział, co robi z rozbudzonymi uczuciami. Nie interesowało go, co się stanie, jeśli

zerwą się łańcuchy, trzymające na uwięzi namiętność i emocje.

Iskra przeskoczyła między nimi i Storm rozpałała się. Czy to dziwne? Może przeżyła dwa lata bez pocałunku. Gdyby mierzyć podniecenie okresem abstynencji, on sam był bliski wybuchu.

Zaklął na głos, więc Storm rzuciła mu zdziwione spojrzenie. Ona też była spocona, a mokre włosy drobnymi lokami otoczyły jej zaróżowioną twarz. Na czole i nad górną wargą widniały krople potu, a usta lśniły, jakby je właśnie oblizwała.

Pierwszy raz widział piękną kobietę, która tak zapamiętała i jednocześnie tak naturalnie pracuje.

Czy zawsze jest taka? Gdyby spróbował się tego dowiedzieć, byłby gorszy od tamtego oszusta. Niemal jęknął na myśl o ciasnym domku. Jak powinien postąpić? Chyba będzie spać na ganku.

Ulżyło mu, gdy o tym pomyślał. Tak, to dobre rozwiązanie. Powie, że musi wypełniać swoje zadanie i stać na straży. Nieodwołalnie postanowił spędzić noc na ganku.

Udręka spowodowała nowe pretensje do złośliwego losu, który sprawił, że pragnął Storni, a przecież miał obowiązek chronić ją przed niebezpieczeństwem. Teraz potrzebna jej była ochrona również przed nim. Tracił kontrolę nad sobą, więc nie podobał mu się taki obrót sprawy.

Storm zdjęła flanelową koszulę i została w bawełnianej bluzce. Materiał był cienki, więc Ben dostrzegł zarys stanika. Ciekaw był, czy jest z koronki, jak stanik wiszący przy piecu, i czy to znaczy, że Storm nosi męski strój, ale pod nim cienką i elegancką bieliznę.

Jego rozmyślania przerwał głos dziecka:

– Be, be, be.

Spojrzał na Rockiego, który natychmiast się rozpromienił i wzruszająco uśmiechnął. Ben zabrał się znów do pracy, ale ledwo się odwrócił, niemowlę zaczęło kwilić. Popatrzył w jego stronę; Rockie się uśmiechnął. Czy to oznaczało, że próbuje porozumieć się z nim?

Odłożył siekiere, wziął dziecko na ręce i podniósł wysoko do góry. Uszczęśliwiony Rockie machał rączkami i nóżkami,

powtarzając „be, be, be”.

Ben zerknął przez ramię na Storm, która odrzucała na bok pocięte gałęzie. Pracowała z niezmordowaną energią, znacznie przewyższającą jego siły. Widocznie zapomniała, że poprzedniego dnia był półżywy. Uważał, że niedyspozycja przyczyniła się do tego, iż reaguje inaczej.

– Be, be.

– Wiem, że jestem niedobry – przyznał półgłosem. – Źle ze mną, bo ciebie też mam ochotę pocałować. Czy przez ciebie robię się miękki, gdy powinienem być twardy i chłodny?

Pocałował niemowlę w nosek i posadził z powrotem.

– Panie Bebe, co ja widzę? – usłyszał za plecami. Odwrócił się i zmierzył Storm groźnym wzrokiem. Był zły, że widziała, jak całował dziecko.

– Czas wracać, bo chyba masz już dość! – krzyknęła. – Starczy jak na jeden dzień.

Pomyślał, że gdyby popracował jeszcze dwie, trzy godziny, po powrocie zwałiłby się na ganek jak kłoda i spał kamiennym snem do rana. Taka perspektywa była lepsza niż patrzeć w gwiazdy i marzenie o Storm. Był zadowolony, że zrobiło się cieplej i tej nocy nie będzie tak zimno jak poprzednio. Miał nadzieję, że codziennie będą pracować do utraty sił, aby zdusić w zarodku budzące się pożądanie, które ujawniało się w każdym spojrzeniu i najlżejszym dotyku.

– Jeśli chcesz, możemy skończyć! – zawołał.

Storm podeszła, rękawem ocierając czoło. Gdy piła wodę, nie mógł oderwać oczu od jej ust.

– Musimy czym prędzej wracać, bo pogoda się psuje. Spojrzał na czyste niebo i zdziwiony uniósł brwi. Zastanawiał się, czy Storm wymyśliła taki pretekst zakończenia pracy, aby nie urazić jego dumy.

– Nie ma ani jednej chmury.

– Ale zaraz będzie sto.

– Niebo jest cudowne...

Użył określenia, które bardziej pasowało do niej niż do nieba.

– Na razie tak, ale w górach pogoda zmienia się z minuty na minutę. Nie zauważyłeś, że wieje inny wiatr? Podejrzanie ciepły. Głowę dam, że będzie ulewa.

On już dawno poczuł zmianę temperatury; zrobiło mu się gorąco, gdy dotknął jej usL Storm miała wargi delikatne jak płatki róż, niewinne, ale namiętne.

– Szybciej. – Rozejrzała się. – Zbierajmy się, bo nie chcę, żeby dziecko zmokło.

Ben widział jedynie lasur i kilka białych obłoków. Nic groźnego. Chętnie jednak zakończył pracę ze względu na dobro niemowlęcia.

Pięć minut później włożył Rockiego dosłownie za pazuchę, aby uchronić go przed wiatrem, nasilającym się z każdą sekundą.

Zanim doszli do domu, rozpętała się wichura. Wiatr przeraźliwie wył, niebo było czarne, spadły pierwsze krople deszczu. Koń przewracał oczami i prychał. Tylko, dziecku było dobrze i ciepło.

Wichura przygnała ulewę pod sam dom, co oznaczało, że nie będzie można spać na ganku. Nie zanosilo się na spokojną noc.

Storm bardzo lubiła siedzieć w swym przytulnym domku, gdy deszcz bębnił po dachu, a wiatr hulał naokoło i gwizdał pod okapem. Wewnątrz wesoło buzował ogień, lampa rzucała na stół krąg złotego światła, a w garnku gotowała się kolacja. Dotychczas zawsze czuła się bezpiecznie i spokojnie, teraz była poirytowana, jak gdyby nawałnica na zewnątrz wznieciła w niej burzę.

Wolała nie zastanawiać się nad przyczyną takiego stanu rzeczy, więc całą uwagę skupiła na przygotowaniu kolacji. Sprawdziła, czy kluski się zagotowały i otworzyła puszkę brzoskwiń na deser.

Ukradkiem zerknęła na Bena i ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Sprawiał wrażenie silnego i zdrowego mężczyzny, lecz niedyspozycja widocznie go osłabiła. Wyglądał na bardzo zmęczonego, chociaż usiłował nie pokazać tego po sobie. Nawet teraz nie siedział beczynn timer, lecz ostrzył siekierę. Nie powinna była pozwolić mu piłować drzewa.

Znowu spojrziała ukradkiem, tym razem na jego usta. Dziwiło

ją, że takie surowe, wąskie usta mogą być zadziwiająco miękkie i delikatne.

Poddusiła kluski razem z mięsem, przekonana, że będą smakowały dziecku bardziej niż papka z puszki, a tymczasem Rockie nie chciał jeść. Wołał „be, be” i wyciągał rączki do Bena.

– Jesteś okropny. – Ben odłożył siekierę i wziął od Storm łyżeczkę. – Proszę.

Rockie odwrócił główkę.

– Co ty wyprawiasz? Otwórz buzię i zachowuj się grzecznie przy ludziach – upomniał Ben.

– Myślisz, że on coś rozumie? – zdziwiła się Storm. – I co znaczy „przy ludziach”? O kim mowa?

– O tobie. Ten rozkapryszony maluch lubi, żebym go zabawiał podczas karmienia.

– O?

– Raczy otwierać buzię, gdy śpiewam.

– Więc na co czekasz? Słyszałam twój występ, nie masz się czego wstydzić.

– Cieszę się, że tak uważasz. Umiem nie tylko dobrze śpiewać, ale i grać w karty. Może po kolacji zagramy? Ogram cię i zostaniesz bez koszuli.

Speszyła się, czyli osiągnął cel. Storm nadrabiała miną, ponieważ nie chciała, aby uważał, że ma nad nią jakąkolwiek przewagę.

Ben groźnie zwrócił się do dziecka:

– No, otwieraj dziób. Niemowlę mocniej zacisnęło usta.

– Poddaję się ~ westchnął i zaczął nucić.

Rockie natychmiast otworzył buzię. Nowa papka tak mu zasmakowała, że jadł bez akompaniamentu.

Storm starała się nie wybuchnąć śmiechem. Była w wyśmienitym humorze. Udowodniła Benowi, że jest potężna i potrafi sprowadzić burzę. Dobrze, że przekonał się o tym na własne oczy. Nie bardzo wiedziała, dlaczego to takie ważne, ale była zadowolona.

Prawdę powiedziawszy, burza nadciągała sama, bez jej

pomocy. Na horyzoncie zbierały się ogromne czarne chmury, wiatr się nasilał, było parno.

Porcja klusek była za duża dla dziecka, więc Ben z przyzwyczajenia zjadł resztę. Zamknął oczy i mlasnął, a potem spojrzał na Storm.

– Świetne, czy jest coś, czego nie potrafisz robić?

– Na pewno znalazłoby się kilka rzeczy, których nie próbowałam.

Pomyśleli o tym samym.

Rockie prawie natychmiast zasnął, ale Ben przez dłuższą chwilę trzymał go na kolanach i z przyjemnością słuchał jego miarowego oddechu. Było mu dobrze. Stanowczo za dobrze. Zastanawiał się, co się z nim dzieje. Skąd ta czułość, skąd pragnienie związania się z kimś na stałe?

Wreszcie wstał, położył dziecko na materacu i przykrył śpiworem. Ich jedynym śpiworem! Pomyślał, że noc na pewno będzie trudna. Wieczór też. W piecu wesoło trzaskał ogień, złotawe światło lampy oświetlało czarne włosy i jasne policzki Storm. Ben bał się, że pod wpływem urokliwej atmosfery zrobi coś, czego będzie żałował.

– Masz karty? – zapytał nagle.

Zamierzał ułożyć pasjansa, co zazwyczaj pomagało, gdy chciał pozbyć się natrętnych myśli.

– Grasz w pokera?

– Zdarzyło mi się raz i drugi – odparł ostrożnie.

Nie przyznał się, że często grał. Wiadomo, że samotni ludzie z dala od domu najczęściej marnują czas i pieniądze przy kartach.

– Chcesz zagrać ze mną?

– A umiesz?

Niepotrzebnie zapytał. Storm wiele rzeczy potrafiła robić i bez wysiłku wykonywała typowo męskie prace. Nic nie powinno go dziwić.

– Żarty! Nie zapominaj, że mam dwóch braci, a wieczory na wsi są długie. Dzięki pokerowi jestem właścicielką połowy naszego bydła, sześciu koni oraz jednej maciory.

Rozdał poplamione i pogięte karty. Patrząc na nią, pomyślał, że wystarczy kwadrans, by zorientował się, jak która wygląda. Storm nie grała jak prawdziwy pokerzysta, ponieważ na widok otrzymywanych kart rozpromieniała się lub chmurzyła. Ben sądził, że potrafi wyczytać z jej twarzy wszystko. Nie pojmował, jak to się dzieje, że zdaje mu się, iż dobrze ją zna. Jak to możliwe zaledwie po dwóch dniach?

Dość prędko podniósł stawkę, lecz na razie nie wspomniał o pistolecie. Nie miał zbyt dobrych kart, więc pozwolił Storm wygrać raz i drugi.

W pewnej chwili zapytał pozornie obojętnie:

– Może chcesz zagrać o coś konkretnego?

– Na przykład o co?

– Masz ładnego konia.

– A ty? Z tego, co zauważyłam, masz tylko dziecko. Dziecka nie chcę.

– Dlaczego? Wydawało mi się, że już się do niego trochę przywiązałaś.

– Nie potrafi robić nic innego, tylko śpi, je i siusia – powiedziała tonem, w którym wyraźnie brzmiała czułość.

– Twój koń też nic innego nie robi.

– Sam nie wchodzi w grę.

– Widzę, proszę pani. Jak takie duże konisko mogłoby „wejść w grę”?

Storm zaczęła chichotać, a Ben pomyślał, że wygląda jak dziewczynka. Powinien pamiętać, że jest bezbronna, a nie wolno krzywdzić dzieci.

– Mogłabyś zaryzykować kapelusz – zaproponował. – Nawet dość mi się podoba.

– A ty, co postawisz?

– Trzy pieluszki jednorazowe.

– Po co mi? Nawet nie przydadzą się na podpałkę. Zresztą są ci potrzebne.

– Mam dwadzieścia dolarów.

– Amerykańskich?

– Tak.

– No, wreszcie jakiś konkretny. Pozwolił jej wygrać. Następnym razem zagrali o kapelusz i scyzoryk. Z żalem oddał scyzoryk, który otrzymał od ojca w prezencie na czternaste urodziny, ale pocieszył się, że jeśli już musiał go przegrać, lepiej, że dostała Storm, a nie ktoś obcy.

– Mam prawie nowy paszport, mogę odstąpić.

– Który?

– A który wolisz?

– Żadnego nie chcę. Co mi przyjdzie z paszportu ze zdjęciem mężczyzny?

– Nigdy nie wiadomo, co człowiekowi się przyda.

– Sam wiesz o tym najlepiej, prawda?

Uznał, że pomysł z paszportami był zły. Duża taktyczna pomyłka.

– No, to może nowe buciki dziecięce?

– Nie mój rozmiar.

– Posłużą jako maskotka. Powiesz w samochodzie.

– Już mam zajęczą łapę. Dziękuję.

– Więc może odpowiada ci miś?

– Co z ciebie za hazardzista? Proponujesz mi tylko rzeczy twojego dziecka. Miś! Nie biorę żadnego misia.

Znowu powiedziała: „twojego dziecka”.

– Skąd taka pewność, że wygrasz?

– Z doświadczenia.

– Już wiem. Oporządzą konie.

– A umiesz?

– Oczywiście. Takich rzeczy się nie zapomina. Przechwalał się, ponieważ akurat tego nie pamiętał. Przez tyle lat celowo nie przywoływał we wspomnieniach przyjemności, z jaką zajmował się końmi, ponieważ przyprawiało go to o ból serca.

– Bo ja wiem... Nie powierzam moich koni byle komu.

– Jak możesz nazywać mnie byle kim? Po wspólnej kąpieli w korycie?

Patrzył z satysfakcją, jak Storm oblewa się rumieńcem. Ślicznie

wyglądała z zaróżowionymi policzkami.

– Rozdaj karty – wycedziła ze złością.

Znowu pozwolił jej wygrać raz i drugi. Rozpromieniła się i grała coraz mniej uważnie.

– Może zagramy o broń? – spytał niby obojętnie.

– Ja mam śrutówkę, a ty nic.

– Jeśli wygrasz, więcej „nie poproszę o pistolet.

Wiedział, że nie oprze się pokusie, ponieważ była przekonana, że szczęście jej nie opuści. Zgadł. Pokusa była zbyt wielka. Cieszył się, że potrafi rozszyfrowywać ludzi, szczególnie osobę, wobec której nie jest bezstronny.

Nagle Storm rzuciła karty na stół i zaklęła.

– O co chodzi? – zdziwił się.

– Oszukujesz!

– Gdybym oszukiwał, wygrywałbym.

– Traktujesz mnie, jakbym była pionkiem. – Odwróciła karty i obejrzała je z wierzchu. – Takie buty. Ta plama coś ci mówi, prawda?

– Może.

– Przysięgnij, że nie oszukiwałeś.

Rzeczywiście nie był sobą, ponieważ nie potrafił jej okłamać, chociaż byłoby to kłamstwo z kategorii koniecznych.

– To niezupełnie oszustwo – bronił się. – Nie moja wina, że karty są poznakowane. Mogłabyś zdecydować się na nową talię.

– Po co? Wśród turystów nie ma Sherlocka Holmesa.

– Ale powinnaś być przygotowana na taką ewentualność.

– Pozwoliłeś mi wygrywać, żeby dostać pistolet, tak?

– Czy to znaczy, że się obraziłaś i oddasz mi scyzoryk?

– Zatrzymam scyzoryk i... wszystko, ty despoto.

– Ja? Despota?

– Jasne. – Hałaśliwie odsunęła krzesło. – Jesteś nie tylko kłamczuchem, ale i oszustem.

– Za mocno powiedziane. Czy w domu też macie takie sfatygowane karty? Jeśli chcesz, mogę ci pokazać, jak grać, żeby zwiększyć liczbę posiadanych krów.

Storm zrobiła taką minę, że był zadowolony, iż nie ma przy sobie dwururki. Nie wątpił, że strzelałaby mu pod nogi i kazała skakać jak w cyrku.

– Chcesz mi pokazać, jak mam oszukiwać braci?! – krzyknęła oburzona.

– Przepraszam, żartowałem.

– Ładne żarty! Pewno bawisz się moim kosztem i śmiejesz w kułak, że nabierasz naiwną trusią.

– Ty i trusia!

Udała, że nie usłyszała ironii.

– Pewno bardzo cię bawi, że mnie wykorzystujesz, opowiadając o niebezpieczeństwie?

– Założę się, że nawet nie wiesz, co to znaczy „wykorzystać” cię.

– Nie powiedziałaś ani słowa prawdy! Wszystko jest zmyślane, wszystko robisz z premedytacją. Nawet kiedy mówisz coś śmiesznego, to tylko po to, żebym przestała się pilnować. Bo zawsze czegoś chcesz.

Zdawał sobie sprawę, na co się zanosi, ale nie ośmielił się powiedzieć tego wprost.

– Mówisz do mnie czy do Doriana? – spytał niewinnie. Storm zaniemówiła. Miała minę dziecka, które za moment wybuchnie płaczem. Opanowała się jednak i dumnie wyprostowała. Była niewysoka, lecz w tej chwili wyglądała majestatycznie.

– Na świecie jest kilka gatunków żmij i węży, a ja mam nieszczęście przyciągać tylko najjadowitsze.

– Nie jestem żmiją.

Zgasiła lampę i położyła się koło Rockiego.

– Nie myśl, że tu będziesz spać – syknęła.

– Wcale nie mam ochoty. Przyjemniej byłoby leżeć koło jeża.

Prychnęła, lecz nie odezwała się. Przytuliła niemowlę, jak gdyby i ono potrzebowało obrony.

Sytuacja zrobiła się komiczna; Ben spodziewał się, że noc będzie gorąca i upojna, a tymczasem od Storm powiało takim chłodem, że bał się, iż zmarznie na kość.

Pocieszył się, że jest tego jeden plus, a mianowicie nauczka, by nie zapominać, że kobiety są nieobliczalne i nigdy nie wiadomo, jak się zachowają.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rano Storni obudziła się zziębnięta. Wystraszyła się, że chwycił mróz i zamarzła woda w wiadrach. Troskliwie otuliła śpiące niemowlę i ukradkiem zerknęła na pryczę pod ścianą. Była pusta.

Po kwadransie wszedł Ben z naręczem drew.

– Dzień dobry. Wiesz, w nocy sypnął śnieg. Dawno nie widziałem tyle puchu.

Storm nie odezwała się, ponieważ w ten sposób chciała dać mu do zrozumienia, że jest na niego zła.

– Początek czerwca! – dodał Ben. – Prawie lato, a tu taka pogoda!

Rzucił drwa przy kominku.

– Zapominasz, że jesteś w górach – rzekła sucho. – Tutaj śnieg to nic szczególnego. Długo nie poleży i za dwie, trzy godziny nie będzie śladu.

– Naprawdę? To obudź Rockiego.

– Po co?

– Jeszcze nie widział śniegu, a potem może nigdy nie będzie miał okazji.

Podbiegł w dwóch susach i odkrył dziecko.

– Zostaw go!

Nie zwracając na nią uwagi, ostrożnie podniósł niemowlę i dmuchnął mu w oczy. Rockie mocniej zacisnął powieki, więc dmuchnął jeszcze raz. Mały otworzył oczy i pierwsze dźwięki, jakie wydał, brzmiały prawie jak imię opiekuna, który roześmiał się i połaskotał go pod brodą.

Storm znowu zdumiało, że Ben chwilami sprawia wrażenie bardzo dobrego i czułego człowieka. Raz jest kłamcą i oszustem, a za moment zachowuje się jak kochający ojciec. Zastanawiała się, czy prawidłowo go ocenia. A może myli się, ponieważ jest uprzedzona do mężczyzn? Może przykre doświadczenie z Dorianem naprawdę wypaczyło jej obraz świata?

Powtarzała sobie uparcie, że musi mieć się na baczności,

ponieważ Ben wszelkimi sposobami usiłuje wyłudzić pistolet. Z drugiej strony przyznawała, że może ma powody, aby nosić przy sobie broń. Po latach takiej niebezpiecznej pracy na pewno człowiek chce być uzbrojony. Jakby zrósz się z pistoletem i bez niego czuł się obnażony.

Usiadła przed lusterkiem i przyglądała potargane włosy. W nocy gumka zsunęła się i teraz loki spływały jej na ramiona. Nie rozumiała, dlaczego przejmuje się swym wyglądem i chce mieć porządną fryzurę.

Zastanawiała się, czy stopniowo zdołałaby wydobyć z Bena jakieś tajemnice. Właściwie była zadowolona, że nigdy do tego nie dojdzie, ponieważ nie mają czasu, by poznać się bliżej. Tydzień to niewiele, a już minęły całe trzy dni. Zostało drugie tyle, a właściwie prawie cztery dni. Ciekawa była, co dla Bena znaczy „tydzień”. Dokładnie siedem dni czy około siedmiu?

Wolała nie pytać, aby nie wyglądało, że nie może doczekać się rozstania.

Przecież było odwrotnie.

Czego naprawdę chciała? Żeby odszedł czy został? Wieczorem doprowadził ją do szewskiej pasji, więc miała ochotę wyrzucić go z domu. Teraz już nie.

Czy chciała, by odszedł z Rockiem? Spojrzała na niego uważniej i mimo woli uśmiechnęła się, ponieważ w chwilach zajmowania się dzieckiem wyglądał jak człowiek, który nic nie ukrywa. Gdy patrzył na niemowlę, na jego twarzy malowała się czułość.

– Rockie, chcesz zobaczyć śnieg? – pytał Ben. – Wiesz, co to jest? Coś białego jak mleko. Ale bardzo zimne mleko.

– Ben?

Popatrzył na nią nad główką dziecka.

– Dlaczego uważasz, że to dla niego jedyna okazja, żeby zobaczyć śnieg?

Nie odpowiedział i odwrócił wzrok.

– Co z nim będzie? – drażniła uparcie. – Co go czeka, gdy pobyt tutaj się skończy? Za cztery dni?

Czekała na to, by zaprzeczył lub potwierdził, że za cztery dni idzie dalej. Była przekonana, że gdziekolwiek pójdzie, dziecko będzie z nim bezpieczne.

– Nie wiem – rzekł głucho.

– Musisz mieć jakiś plan. – Zastanawiała się, czy znowu się wykręca, czy tym razem mówi prawdę. – Zawieziesz go z powrotem do jego ojczyzny? Jak ten kraj się nazywa? Cressada?

– Naprawdę nie wiem.

– A nie mógłbyś go zatrzymać? Popatrzył na nią zdumiony.

– Zatrzymać? Przecież jestem kawalerem i prowadzę wędrowny tryb życia, stale jestem w rozjazdach. Jak mógłbym go zatrzymać?

– Wiem, że to śmiesznie brzmi...

– Rzeczywiście.

– ... ale on tak bardzo przywiązał się do ciebie...

– Przywiązał się? Co ty wygadujesz? Skąd o tym wiesz? Powiedział ci?

– Nie musi mówić, bo widzę, jak patrzy na ciebie. Na twój widok radośnie macha rączkami i woła „be, be”. Tylko tobie pozwala się karmić.

– To jeszcze nie oznacza przywiązania.

– A co może oznaczać?

– Skąd mam wiedzieć? – spytał zaczepnym tonem. – To jego „be, be” może oznaczać „Jestem głodny” albo „mam mokro”.

– Nie wykręcaj się, bo dobrze wiesz, co znaczy. Ben niezadowolony milczał przez chwilę.

– No, niech ci będzie. Może jego zachowanie oznacza, że mnie lubi, ale nie można wziąć sobie dziecka na kark, tylko dlatego, że ono człowieka polubiło.

– Czy ma jakichś krewnych w Cressadzie?

– Nie. – Udawał, że pilnie ogląda paznokietki dziecka. – Noel powiedział, że nie mają nikogo bliskiego.

– Więc, co z nim będzie? Zostanie tutaj, czy wróci do swojego kraju? Chyba nie... – Urwała, ponieważ bała się, że zadrzy jej głos. – Nie dasz go do domu dziecka, prawda?

– Nie wiem.

Najwyraźniej nie chciał rozmawiać na ten temat.

– Szkoda, żeby poszedł w obce ręce, gdy już ktoś go bardzo kocha.

– A kto go kocha? – Ty.

Nie dodała, że ona również.

– Nie nazwałbym tego miłością.

Pomyślała, że boi się tego słowa. Człowiek, który zaatakował niedźwiedzia z pustą dubeltówką, bał się słowa „miłość”.

– A jak określisz swoje uczucia?

– Nie wiem.

Pochylił głowę, aby nie widziała bolesnego wyrazu w jego oczach. Pomyślała, że może on wcale nie ukrywa sekretów, ale nie zna siebie.

– Czy wiesz, ile razy powiedziałeś „nie wiem”?

– Nie liczyłem.

– Sześć. To dużo.

Rzucił jej wściekłe spojrzenie, więc uznała, że należy zakończyć rozmowę. Wstała.

– Może czas najwyższy, żebyś zaczął myśleć o tym wszystkim, czego nie wiesz?

Otworzyła szufladę w poszukiwaniu kolorowej gumki. Nie mogła jej znaleźć, więc jeszcze raz grzebieniem przygładziła włosy.

– Nie związuj włosów – poprosił Ben.

– Dlaczego?

– Bo ładniej wyglądasz z rozpuszczonymi. – Spojrzał na dziecko. – No, żarłoku, co zjesz na śniadanie? Masz apetyt na bekon z jajkiem?

Storm знала stan zapasów, więc powiedziała:

– Lepszy będzie naleśnik.

– To też miałem mu zaproponować. – Przysunął ucho do ust dziecka i udawał, że słucha. – Rockie zgadza się na naleśnika. Nic dziwnego, że po tylu dniach okropnej papki ma ochotę na coś innego. – Niemowlę zaczęło gaworzyć. – Mówi, że chce z

miodem. Słusznie. A więc najemy się naleśników, a potem wyjdziemy na dwór. Chyba zdążymy, zanim śnieg stopnieje?

– Nie zauważyłam, żebyś przywiózł zimowe rzeczy.

– Przeprowadziłaś taką dokładną rewizję, że jeśli nie znalazłaś ubranka na ciężkie mrozy, to znaczy, że nic nie ma.

– Sugerujesz, że jestem wścibska?

– Niczego nie sugeruję, ale stwierdzam fakt, że znasz zawartość plecaka lepiej niż ja.

Rozpalił w piecu i zaczął przygotowywać śniadanie. Storm spod oka obserwowała, jak radzi sobie z gotowaniem. Trochę przypalił naleśniki, ale dziecku to nie przeszkadzało, może dzięki temu, że obficie polał je miodem. Żałowała, że nie musiał śpiewać, aby namówić Rockiego do jedzenia. Wreszcie jako tako doprowadziła włosy do porządku i usiadła przy stole.

– W co go ubierzesz? – spytała.

– Coś wymyślimy. – Obrzucił ją aprobującym spojrzeniem. – Wiesz, zawsze powinnaś tak się czesać.

– Codziennie ma być przebieranka?

– Nie rozumiem.

– Wyglądam, jakbym była w peruce czarownicy.

– Nieprawda.

Patrzył na nią takim rozpalonym wzrokiem, że się spieszyli więc prędko powiedziała:

– Skoro mowa o czarach...

– Ja nie mówiłem.

– Jak wyczarujesz zimowy strój dla Rockiego?

Po śniadaniu pokazał, że i to potrafi. Ubrał niemowlę w trzy pary śpioszków, chociaż ostatnie ledwo się dopięły, a Rockie spocił się i krzyczał niezadowolony. Na to włożył małe ponczo i obwiązał dziecko sznurkiem. Jako rękawiczki posłużyły skarpetki. Adidasy dodatkowo owinał plastikiem i obwiązał sznurkiem.

– Wygląda jak foczka.

– To dobrze, bo foki nie marzną. – Ben uśmiechnął się zadowolony i wziął dziecko na ręce. – No, my jesteśmy gotowi.

Nie miał ani ciepłej kurtki, ani rękawiczek, ale to mu nie

przeszkadzało.

Storm nie chciała dać się wciągnąć do zabawy, ponieważ wolałaby pozostać przy opinii, że ma do czynienia z kłamcą i oszustem, z człowiekiem o nieuczciwych zamiarach. Lecz nie potrafiła mu się oprzeć. Szczególnie, gdy zachowywał się beztrosko, gdy chciał dziecku dać trochę radości i bawił się z nim.

Włożyła skafander i też wyszła. Na twarzy Reckiego malowało się zdumienie, a na twarzy Bena radość. Ben rzucił w nią kulką śniegu, lecz nie trafił.

Intuicyjnie czuła, że nie powinna zaczynać z nim zabawy i powtarzała sobie, że chodzi mu tylko o pistolet. Wiedziała, że jeśli teraz da się wciągnąć, po ich odejściu będzie jeszcze smutniej.

Po ich odejściu? Już za cztery dni! Może nawet za trzy i pół. Powinna pamiętać o rozstaniu i o tym, że Ben potrafi błyskawicznie przedzierzgnąć się z jednej roli w inną. Zrzucał skórę z łatwością węża. Zamierzał odejść z sierotą, której przyszłość była niepewna.

Podjeżdżała, że jego przyszłość też jest niepewna. Za tydzień może już będzie na drugim końcu świata. W kraju, o którym nie słyszała i pod kolejnym nazwiskiem, którego nie pozna.

Ben posadził dziecko na śniegu. Rockie natychmiast zgarnął biały puch i włożył do buzi. Zasmakował mu, więc krzyknął z radości i niezdarnie zgarnął drugą porcję. Storm roześmiała się i w tym samym momencie na jej czole rozprysła się śnieżka. Miękka kula świadczyła o tym, że Ben nie ma pojęcia o lepieniu śnieżek. Zebrała dużą garść śniegu, zrobiła okrągłą, twardą kulę i rzuciła. Ben nie zdążył uskoczyć w bok, więc trafiła go w ramię.

– Boli! – krzyknął tragicznym głosem i schwycił się za ramię. – Boli!

– To kara za oszukiwanie w kartach. Błyskawicznie ulepiła drugą śnieżkę i rzuciła. Tym razem zdążył odskoczyć. Zebrał garść śniegu i schował się za drzewo, a Storm przykucnęła za Rockiem.

– Tak się nie robi! – zawołał. – Nie wypada kryć się za dzieckiem.

– Na wojnie wszystko uchodzi.

Nie dodała, że w miłości też. Czy można kochać oszusta?

I kogoś tak tajemniczego? Czy można zaufać człowiekowi, który ma więcej paszportów niż ona sukienek?

Popatrzyła na niemowlę i nagle zrozumiała, że największa tajemnica świata nie leży w Benie ani w żadnym konkretnym mężczyźnie, lecz w samej miłości. W pięknym uczuciu, które i w niej wreszcie się zbudziło. Uczucie znalazło ją w miejscu, w którym skryła się przed ludźmi, życiem i drgnieniami serca.

W momencie gdy wcale się tego nie spodziewała, pokochała osierocone dziecko, które jeszcze nic nie wie o świecie oraz samotnego mężczyznę, który wie prawie wszystko.

Kolejna kula świsnęła jej koło ucha, więc zawołała, udając gniew: '

– Bombardujesz śnieżkami kobietę i dziecko. Co z ciebie za człowiek?

– Nie człowiek, lecz potwór.

Gdyby mogła w to uwierzyć. Dla niej byłoby lepiej, gdyby uważała go za osobnika niegodnego zaufania. A tymczasem w głębi serca była przekonana, że jest prawym człowiekiem, kierującym się zasadami honoru, których ona nie zna, ale które są niezmiennie.

Zrozumiała, że Ben jest bardzo samotny.

Podobnie jak ona?

Wyskoczył zza drzewa i pobiegł zygzakiem do drugiego. Pochylił się i kluczył, co świadczyło o tym, że jest dobrze wyszkolony i że na ogół nie biega dla zabawy.

Zabolało ją serce, zrobiło się jej go żal, gdy pomyślała, że po odejściu z „Przystani dla serca” wróci do bezwzględного i okrutnego świata, w którym nie będzie uciekał przed śnieżkami, lecz przed prawdziwymi kulami.

Rzuciła śnieżkę, ale nie trafiła. Ben roześmiał się z całego serca. Pomyślała, że powinna zachować jego śmiech w pamięci i w sercu. Powinna takim go wspominać po rozstaniu.

Prędko ulepiła dużą kulę i rzuciła z całej siły. Kula rozbiła się

na pniu, za którym Ben zdążył się schować. Rzucił zza drzewa trzy kule i trzy razy trafił. Storm wydała okrzyk bojowy i zaatakowała pozycję przeciwnika. Biegła, nie zważając na grad kul. Ben nie uciekł, więc zdołała wepchnąć mu za kołnierz część śniegu, z którym przybiegła.

Gdy złapał ją za ręce, natychmiast przestali się śmiać. Przez moment wpatrywali się w siebie, a potem puścił ją tak nagle, że się zachwiała. Zdążyła zauważyć, że oczy miał rozpalone pożądaniem. Stała porażona nieoczekiwanym odkryciem.

Ben jej pragnął!

– Pomóż mi zrobić bałwana.

Powiedział to opanowanym głosem, więc pomyślała, że się przesłyszała. Wcale nie mówił jak człowiek, który traci panowanie nad sobą.

– Nie jest ci zimno? – spytała cicho. Była gotowa go rozgrzać.

– Trochę zmarzłem, ale to drobiazg. Później się rozgrzeję, a ta chwila może się nie powtórzyć.

Poczuła, że budzi się w niej coś nieokiełznanego. Przebudziła się w niej kobieta, która chce poznać mężczyznę. Pragnęła Bena tak, jak się pragnie ukochanego.

Ta chwila może się nie powtórzyć.

– Zaczynamy. Jeszcze pamiętam, jak dawno temu lepiłem bałwany. – W jego głosie zabrzmiała nuta smutku i tęsknoty za dzieciństwem. Okazało się, że nie zamierza ulepić jakiegoś małego bałwanka, więc wkrótce razem pchali olbrzymią kulę. Chwilami ich ręce się stykały, jakby szukały ciepła, ale zaraz się odsuwały.

– Czy to ma być góra? – spytała zasapana Storm. – Już chyba wystarczy.

– Jeszcze trochę.

– Po co?

– Małe bałwany są dobre dla tych, którzy co roku je oglądają, ale nie dla mojego dziecka.

Piękny prezent dla dziecka.

Gdy już oboje nie mieli siły pchać, uznał, że kula jest

wystarczająco duża. Przyniósł Rockiego, który cieszył się i klaskał w rączki.

Druga kula była prawie tak wielka jak pierwsza, więc nie mogli jej udźwignąć. Pękła na pół i zasypała Storm, która wybuchnęła śmiechem. Ben pomógł jej wstać dopiero po ułożeniu połowy kuli na pierwszej.

Pomyślała, że to najlepszy moment, by go pocałować, więc zamknęła oczy i stanęła na palcach. Niewiele brakowało, a straciłaby równowagę, ponieważ Ben akurat pochylił się, żeby uklepać bałwana.

Głowę zrobił sam, a jej polecił, by przyniosła okrągłe kamyki na oczy, małe na zęby i kawałek patyka na nos.

Rockie tak się wiercił, że w końcu przewrócił się i gdy poczuł zimny śnieg na buzi, zaczął płakać.

Ben pospieszył na ratunek, wziął go na ręce i otarł śnieg z policzków. Trząśnięty z zimna, a mimo to obszedł bałwana naokoło kilka razy, trzymając dziecko na ręku. Poprawiał to i owo, uklepywał śnieg.

Storm poszła do domu, roznieciła ogień i zagotowała wodę, aby zrobić kakao z mleka w proszku. Wreszcie i Ben wrócił, wesoło rozmawiając z Rockiem. Czekwała, aby nawiązał do wspólnej zabawy i poprosił o zwrot pistoletu, lecz nie powiedział ani słowa na ten temat. Mimo to poszła na ganek, odchyliła deskę i wyjęła pistolet. Bez słowa położyła go na stole, skrzyżowała ręce na piersi i czekała. Ben wpatrywał się w nią (Hugo, a potem spojrzął na pistolet. Podał jej dziecko, dokładnie obejrzał broń i wsunął za pasek spodni).

– Dziękuję.

Oboje wiedzieli, że dziękuję za więcej, nie tylko za broń. Wyraził wdzięczność za to, czego oboje długo nie doświadczyli, a mianowicie za zaufanie. Storm posadziła dziecko na podłodze i przygotowała kakao. Czuła, że Ben ją obserwuje.

– Dlaczego mi oddałaś? – zapytał w końcu. Postawiła dwa kubki na stole i naląła najpierw małą porcję dla dziecka.

– Nie wiem.

– Na pewno. – Gdy roześmiała się, dorzucił: – Wiesz, prawda?

– Tak.

– Więc?

Westchnęła. Ujęła jego twarz w dłonie i popatrzyła mu w oczy.

– Nie chciałam dać pistoletu człowiekowi, któremu nie ufałam.

Pocałowała go. Miał cudowne usta. Pocałowała jeszcze raz i poczuła, że przestaje panować nad sobą. Ben zaczął ją całować jak szalony, potem wziął na kolana i pieścił, aż doprowadził do tego, że drżała z pożądania.

Rozpętali burzę i od razu poczuli się lepiej. Pękły wszelkie tamy i rozwiało się napięcie między nimi. Ogarnęło ich podniecenie nie do opanowania.

A przynajmniej Storm trudno było się opanować. Nagle Ben odsunął ją tak gwałtownie, że się zachwiała. Wstał równie gwałtownie, przewracając przy tym krzesło.

– Nie możemy... Ja nie mogę... Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

– Nie wiesz, co robisz – rzekł łagodnie. – Nie wiesz, do czego to prowadzi.

– Wiem.

Pomyślała, że jeśli rzuci mu się na szyję, nie będzie miał odwagi jej odepchnąć, ale zauważyła ból w jego oczach i natychmiast zrezygnowała ze swoich zamiarów. Poczula się odrzucona.

– Nie myśl, że cię nie pragnę – wyznał Ben głuchym głosem. – Nie o to chodzi. Jesteś bardzo piękna i nigdy tak nie pragnęłam żadnej kobiety.

– Przestań.

– Ale to niemożliwe, bo nie jestem mężczyzną, jakiego potrzebujesz.

– Skąd wiesz, jakiego potrzebuję?

– No właśnie. Absolutnie nic o sobie nie wiemy.

– Nieprawda. Wiemy.

– Potrzebny ci ktoś podobny do twoich braci. Miły, spokojny, silny, stateczny.

– Jesteś jedynym mężczyzną, który siłą dorównuje moim braciom.

– Muszę iść. – Nerwowym ruchem przeczesał włosy. – Muszę stąd odejść.

– Co?

– Niedaleko zostawiłem radio. Pójdę tam i może dowiem się, co mam dalej robić.

– Myślałam, że wybierałeś się tam po tygodniu, czyli za cztery dni.

– Nie mogę czekać.

Czuł, że jeśli poczeka choćby godzinę, zrobi coś, czego nigdy sobie nie wybaczy. Wykorzysta zaufanie, jakie Storm okazała mu oddając pistolet. Udowodni, że nie jest jej godny. Nie mógł zostać jej kochankiem i odejść, jak gdyby nigdy nic. To nie mogła być przygoda, która nic nie znaczy, nie pozostawia śladu w pamięci.

To, co Storm proponowała, wymagało poważnego przemyślenia. Należało spokojnie rozważyć całą sytuację. Również to, czego on sam pragnie. Nie na godzinę lub kilka dni, lecz na długo. Może na zawsze.

Storm Taylor była kobietą na całe życie. Ofiarować jej z siebie mniej byłoby zniewagą. Już przed podjęciem się ochrony Noela zastanawiał się, co będzie robił przez resztę życia. Jaki kaprys losu przywiódł go w te góry, do tego domku? Czy patrząc w błękitne oczy, patrzył na resztę swego życia? Jak to możliwe? Przecież nie zrobił nic, aby zasłużyć na niebo.

Pokręcił głową.

Storm płakała cichymi łzami urażonej dumy. Niecierpliwym gestem otarła mokre policzki.

– Shauna.

– Nie mów tak do mnie.

– Przepraszam cię, Shauna.

– Nie ma za co. Ludzie stale się całują, to nic wielkiego.

Cynik mógłby zapytać: „Więc czemu płaczesz?”. Ben pomyślał, że przed tygodniem chyba był cynikiem i zadałby takie pytanie. Teraz zamiast pytać, przytulił ją do piersi i pozwolił się

wyplakać, a gdy przestało wstrząsać nią łkanie, łagodnie rzekł:

– Idę włączyć radio.

– Nie możesz. Jesteś przemoczony do suchej nitki. Nawet nogi masz mokre.

Milczał.

– Zaziębisz się. – Nie miała odwagi spojrzeć na niego, ale cicho zapytała: – Bierzesz ze sobą dziecko?

– Nie.

To oznaczało, że wróci. Przynajmniej tym razem. Zrobiło się jej trochę lżej na sercu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Szedł prędko, odsuwając od siebie myśl, że Storm miała rację, gdy radziła, by najpierw wysuszył rzeczy. Podczas lepienia bałwana przemoczył nogi, a teraz brnął w mokrym śniegu i już chlupotało mu w butach. Zimno byłoby łatwiejsze do zniesienia, gdyby dotarto bliżej rozpalonego serca. Może ugasiłoby ogień...

– Ja i rozpalone serce – prychnął pogardliwie. – Też coś!

Z natury trzeźwy uważał, że fizycznie jest to niemożliwe, ponieważ serce jest mięśniem pompującym krew i wobec tego nie może płonąć. Wystraszył się, że jeszcze trochę, a zacznie pisać wiersze i medytować.

Stał mu przed oczami Noel East, który często oddawał się medytacji, wszędzie i o dowolnej porze: podczas jazdy autobusem, na dworcu kolejowym, w przepelnionej sali zebrań. Widywał go z zamkniętymi oczami, lecz wiedział, że nie śpi. Był zadowolony, że podczas medytacji Noel nie śpiewał, czym wprawiałby go w zakłopotanie.

Krótką znajomość z Noelem wystarczyła, by zrozumiał, że nie spotka człowieka o większym spokoju wewnętrznym i odwadze. East pozostawał niewzruszony nawet w obliczu najbardziej napiętych harmonogramów, politycznego chaosu czy gróźb, jakich mu nie szczędzono.

Kiedyś odważył się zapytać go, dlaczego oddaje się medytacji i otrzymał zadziwiającą odpowiedź:

– Żeby sobie przypomnieć, co jest prawdziwe, rzeczywiste.

Benowi zdawało się, że takie przypomnienie nie jest konieczne, że wystarczy dotknąć byle kamienia, który niewątpliwie jest prawdziwy. A mimo to zapytał:

– Co to takiego?

– Miłość jest jedyną rzeczywistością. Wszystko inne jest złudzeniem.

Jakie to potworne, że człowiek wyznający tak piękne poglądy, został podstępnie zamordowany.

Przed wyjściem Ben poinstruował Storm, jak ma się

zabezpieczyć przed ewentualnym wrogiem. Prosił, by była czujna, miała oczy i uszy otwarte, a w zasięgu ręki nabitą broń. Tłumaczył cierpliwie, dlaczego to konieczne, ale widział, że nie słucha go uważnie. Nic dziwnego. Pocałunki rozpalają serce, a wtedy uszy głuchną.

– To zdanie nadawałoby się na początek wiersza – rzekł półgłosem i zaśmiał się ironicznie.

Liczył na to, że jeśli szczęście dopisze, wróci przed zapadnięciem zmroku, ale nie był pewien, czy jeszcze jedną noc w ciasnym domku można nazwać szczęściem. Raczej słodką torturą było patrzeć w oczy i na usta Storm, na jej krągłe piersi widoczne pod bluzką i smukłe biodra. Uznał, że poczuje się szczęśliwy, gdy nie będzie potrzebował schronienia dla siebie i dziecka. Byłoby najlepiej, gdyby już nazajutrz mógł ruszyć dalej.

Wiedział, że powinien jak najprędzej wyjechać, a wcale nie miał na to ochoty. Przypomniało mu się pytanie Storm o los Rockiego. Sam też rozmyślał nad tym, co się stanie z jego dzieckiem. „Jego dzieckiem”? W Cressadzie sieroty są poza nawiasem społeczeństwa. Polityczni doradcy tłumaczyli Eastowi, że dzieci nie mają prawa głosu, więc nie warto nimi się zajmować, lecz on wykorzystał swą nieoczekiwaną popularność, aby mówić o okropnych warunkach w sierocińcach. Ben wciąż miał przed oczami rzędy kołysek z nie przewiniętymi niemowlętami oraz nieśmiało uśmiechnięte dzieci, wyciągające rączki i błagające o odrobinę uwagi.

Przysiadł na najbliższym głazie, ponieważ czuł się wyczerpany i roztrzęsiony jak nigdy w życiu.

– Noel! – zawołał na całe gardło. – Gdzie jesteś?

East całym sercem i duszą wierzył, że śmierć nie jest końcem, lecz przejściem duszy do innego bytu. Nie bał się śmierci.

Wokół panowała niezmacona cisza. Ben wstał i otrzepał spodnie.

– Milczysz, czyli jest, jak myślałem. Nie ma cię, a tak chciałbym, żebyś mi poradził, co mam robić.

„Pomyśl o własnym szczęściu”.

Rozejrzał się. Nie wiedział, skąd dobiegły te słowa. Zdawało mu się, że z wnętrza duszy, lecz były sprzeczne z jego naturą, więc nie mogły pochodzić od niego.

– Moim szczęściu? – mruknął. – Postaram się. To nie powinno być trudne.

Wyobraźnia podsunęła mu niepokojące obrazy: Storm i on stoją w korycie i głośno się śmieją. Ona siedzi na trawie, a on w balii, wyśpiewując ulubione piosenki. Oboje toczą olbrzymią kulę śniegu, aby ulepić bałwana dla Rockiego. Dla jego dziecka!

Czy coś takiego można nazwać szczęściem? Czyżby szczęście było tak proste? Wystarczy, gdy kobieta, mężczyzna i dziecko są razem i już można mówić o szczęściu? Wystarczy szczery śmiech i sympatia do drugiego człowieka?

„Miłość jest jedyną prawdziwą rzeczą i tylko ona się liczy”.

Uważał, że nie ma filozoficznego usposobienia, jest jak najdalszy od rozważań kwestii bytu, a mimo to przyszła mu do głowy dziwnie filozoficzna myśl. Mianowicie, że to, co było istotą Noela, przetrwało. Jego miłość zmieniła ludzi, z którymi się stykał i zmieniła oblicze jego narodu.

Miłość Noela nie zginęła wraz z jego śmiercią, lecz nadal żyła w śmiechu jego dziecka, w uczuciu, jakim ono obdarzy świat.

Lecz jaki świat? Czyj świat?

Przez chwilę zastanawiał się, czy Storm mogłaby zaadoptować chłopca, ale prędko doszedł do wniosku, że rozum mu się miesza. Ona też nie prowadziła normalnego domu i nie miała doświadczenia w wychowywaniu dzieci. To jednak nie była największa przeszkoda, gdyż oboje prędko się uczyli. Może wychowywanie dzieci nie jest trudną sztuką?

Pokręcił głową. Nie powinien nawet o tym myśleć. Nie można obarczać Storm takim ciężarem i namawiać, by zgodziła się być samotną matką. Była twarda i silna na zewnątrz, ale wewnątrz delikatna i czuła. W dodatku piękna i namiętna.

Prawdopodobnie nie będzie sama zbyt długo. Bez trudu znajdzie mężczyznę, który się z nią ożeni.

Jaki to powinien być człowiek? Storm jest ufna i prostolinijna,

więc może wybrać źle. Ona i Rockie mogliby dostać się w ręce kogoś nieodpowiedzialnego tylko dlatego, że on, Ben McKinnon, nie miał odwagi postąpić tak, jak powinien.

– A jak powinienem? – spyta! i zaklął ze złości, że mówi na głos.

Podświadomie bał się kobiet, ponieważ nie wiedział, czego oczekują od mężczyzn. Może cywilizowany mężczyzna to taki, który jest wrażliwy, ma dobre maniery, nie przeklina, dzwonię że się spóźni na obiad i za wszystko przeprasza. Dobry mąż zauważa nową fryzurę lub suknię żony, nową tapetę w pokoju. On nie posiadał umiejętności mówienia miłych rzeczy i nie miał zamiaru się uczyć.

Przypomniawszy sobie, co czuł, gdy trzymał zapłakaną Storm w ramionach. Ogarnęło go osobliwe uczucie, jakby mieszanina opiekuńczości i czułości.

– Jestem daleki od ideału – mruknął poirytowany. – Gdzie to przeklęte radio?

Zastanawiał się, jakie byłoby codzienne życie ze Storm u boku. Mógłby obserwować, jak dziecko rośnie, rozwija się, dojrzewa. Zdziwił się, gdy sobie uświadomił, że chce, by Rockie miał kucyka i grał w piłkę nożną. Chciał, żeby chodził do przedszkola i robił ludziki z żołądki i kasztanów.

Pogratulował sobie, że przez tyle lat żył bez miłości, ponieważ dławiące uczucie, jakie go ogarnęło, mogło wszystko skomplikować. Już sprawiało, że był poirytowany, zły...

– Ale czujesz, że żyjesz – odpowiedział jakiś głos. Ben rozejrzył się zdziwiony.

– Żyję? To fizyczny proces. Człowiek oddycha, je i śpi, i tyle, prawda?

Taką definicję podałby bez wahania dawniej, przed pobytem w „Przystani dla serca”. Teraz brzmiała płasko.

– Chyba naprawdę mam rozpalone serce. – Spojrzył na kompas. – Kiedy wreszcie dojdę do radia?

Uświadomił sobie, że rozmawia sam ze sobą. Przez jedenaście lat trudnej, samotnej pracy zawsze myślał po cichu, a teraz myśli

głośno. Po trzech dniach w towarzystwie kobiety i dziecka rozmawia z duchami i drzewami.

Wreszcie dostrzegł radio.

Nie lubił z niego korzystać, ponieważ przeciwnicy też mają dobry sprzęt i potrafią się nim posługiwać. Z obawy, że go wyśledzą, zostawił to kosztowne urządzenie daleko od domu.

Ze ściśniętym sercem słuchał tego, co Jack Day miał mu do zakomunikowania. Okazało się, że śmierć Noela Easta stała się sygnałem do rozruchów. Po trzech dniach zamieszek obalono rząd, znaleziono i aresztowano prawie wszystkich podejrzanych o udział w zabójstwie Easta.

– Gdzie jest ostatni szubrawiec?

– Nie wiemy dokładnie.

– Szuka dziecka?

– Twojego dziecka? – zdziwił się Jack.

– Dziecka Noela.

Ben był pewien, że powiedział tylko „dziecka”, ale widocznie odbiór nie był najlepszy.

– Nie mamy podstaw sądzić, że wyruszył w pościg za wami – rzekł Jack. – Wszystko skończone. Jaki sens ścigać niemowlę? Oni definitywnie przegrali.

Ben wiedział z doświadczenia, że źli ludzie rzadko kierują się rozsądkiem; gdyby było inaczej, zawsze zwyciężałoby dobro i nie byłoby wojen. Tylko nieliczni przeciwnicy Easta byli fanatykami, a runęło całe mocarstwo. Ludzie pragną zemsty ze znacznie błahszych powodów i zwykle mszczą się na niewinnych.

– Gdzie i kiedy mam na ciebie czekać? – zapytał Jack.

Ben nie od razu odpowiedział. Dlaczego? Czy próbował przedłużyć coś, co definitywnie się skończyło? Czy sterał się wymyślić pretekst, aby dłużej zostać w górach i jeszcze trochę pobyc w raju na ziemi?

Uprzytomnił sobie, że raj źle na niego wpływa, ponieważ mówi do siebie i drzew, ogarniają go dziwne tęsknoty, od których dotąd był wolny.

Przez jedenaście lat miał pełne zaufanie do sądów Jacka. W

tym czasie kilkakrotnie życie jednego z nich zależało od decyzji drugiego. Skoro teraz Jack twierdził, że niebezpieczeństwo minęło, należało mu wierzyć.

– W Prince George – rzekł z ociąganiem. – Jutro po południu będę tam na lotnisku.

Gdy się rozłączył, świat wydał mu się nieprzyjemnie pusty i cichy.

Potem nagle usłyszał niepokojący dźwięk. Dźwięk tak odległy, że początkowo musiał bardzo wyteńczyć słuch, ale znał go doskonale i rozpoznałby wszędzie.

Dźwięk narastał. Rozpoznał nadlatujący helikopter.

Pomyślał, że wykrył go nieprzyjaciel i ogarnęło go przerażenie. Budził z powrotem, nie zważając na gałęzie uderzające po twarzy. Biegł do bezbronного dziecka i samotnej kobiety.

Storm spojrzała w stronę drzwi i z trudem ukryła rozczarowanie, widząc brata.

– Dzień dobry.

Jake wybałuszył oczy i bez słowa patrzył na niemowlę, siedzące na podłodze.

– Widziałam helikopter Stanleya. Z nim przyleciałeś?

– Tak. – Jake z trudem zbierał myśli, więc niezbyt mądrze zapytał: – Czy... to jest... dziecko?

– Nie.

Rzucił siostrze groźne spojrzenie.

– Po co zadajesz takie głupie pytanie? – fuknęła. – Przecież widzisz, że dziecko. Gdzie wysiadłeś? Daleko musiałeś iść?

– Kilka kilometrów...

– Dziecka nie widziałeś?

– Widziałem, ale... Czyje ono jest? Pierwsi goście mają przyjechać za dwa tygodnie.

– Gdyby było moje, chyba nawet ty byś wcześniej coś zauważył.

Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby uważał, że przyjechała w góry, aby w tajemnicy urodzić dziecko. Bawiła się jego kosztem, ale nie chciała go dręczyć, więc powiedziała:

– Nie bój się, to nie twój siostrzeniec. Siadaj. Zrobię ci kakao i opowiem wszystko po kolei. Weźmiesz go na kolana?

– Nie!

Usiadł przy stole i nieufnie patrzył na Reckiego, jakby podejrzewał, że zniechęca ugryzie go w kostkę. Storm zignorowała jego stanowczą odmowę i posadziła mu niemowlę na kolanach. Patrząc na Jake'a pomyślała, że wysokim mężczyznom do twarzy z dzieckiem na kolanach. Rockie przyglądał się gościowi i uśmiechał rozbajająco. Speszony Jake zerknął na siostrę, a potem nieśmiało uśmiechnął się do dziecka.

– O, od razu lepiej wyglądasz – pochwaliła Storm. Jake rzadko się uśmiechał. Za wcześnie spadło na niego zbyt wiele obowiązków, między innymi musiał zająć się wychowywaniem siostry. Gdy rodzice zginęli, Storm miała cztery lata, a on siedemnaście.

Napełniła czajnik wodą i zerknęła przez ramię. Rockie złapał palec Jake'a i wpychał do buzi. Jake roześmiał się.

– Zabawne stworzenie. Całkiem miły brzdąc.

– Bardzo miły.

Gdy usiadła przy stole, brat popatrzył na nią i przestał się uśmiechać. Wiedziała, że zobaczył więcej, niż sobie życzyła.

– Co się stało?

– Nic – odparła drżącym głosem.

– Lepiej od razu mi powiedz.

– Najpierw ty powiedz, co tu robisz.

– Mam trochę wolnego czasu, więc pomyślałem, że wpadnę i pomogę ci. Ale to nieważne. Mała, powiedz wreszcie, co tu się dzieje.

– Nie jestem mała! Od dawna jestem dorosła!

Jakby przecząc tym słowom, wybuchnęła płaczem. Jake jedną ręką przytrzymał dziecko, a drugą poklepał siostrę po plecach, co miało być pocieszeniem. Storm wytarła oczy rękawem i opowiedziała o nagłym zjawieniu się mężczyzny z dzieckiem i bronią oraz kilkoma paszportami. Powiedziała całą prawdę, a przynajmniej tak sądziła.

– Zrobił ci coś złego? – spytał Jake, groźnie łypiąc okiem.

– Nie.

– Wiec czemu wylewasz krokodyle łzy?

– Bo nie wiem, co się ze mną dzieje. Jake po namyśle oświadczył:

– Ukatrupię go.

– Nic nie rozumiesz.

– Rozumiem wszystko. Wiem, jacy są mężczyźni. Gad!

– Przecież nic się nie stało.

– Na pewno?

W tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem i rozległ się lodowaty głos:

– Zostaw dziecko, połóż ręce tak, żebym je widział i odwróc się powoli. Bez sztuczek!

– Ben!

Twarcz miał tak zmienioną, że ledwo go poznała. Jake podał jej Rockiego, podniósł ręce do góry i się odwrócił. Ben zorientował się, że źle ocenił sytuację.

– To mój brat Jake – przedstawiła Storm.

Ręka z pistoletem opadła. Speszony Ben przygładził włosy i mruknął:

– Przepraszam.

Jake bez ostrzeżenia rzucił się na niego jak rozjuszony byk i uderzył w brzuch, więc się przewrócili i potoczyli na ganek.

– Przestańcie! – krzyknęła Storm.

Wybiegła za nimi. Walczący spadli ze schodów, ale pistolet został na ganku.

Jake siedział na Benie okrakiem i okładał go pięściami. Storm nie zauważyła, jak Ben to zrobił, ale w mgnieniu oka przerzucił Jake'a nad głowę i teraz on siedział na przeciwniku, który nadal bił go, ile sił.

– Przestańcie!

Nie usłyszeli, więc podniosła pistolet, wycelowała w niebo i nacisnęła spust. Mężczyźni znieruchomieli.

– Przestańcie się bić! – krzyknęła.

Ręka Bena zawisła w powietrzu. Jake przestał okładać go pięściami, Ben powoli wstał i wyciągnął rękę do przeciwnika. Po chwili wahania Jake ujął wyciągniętą dłoń i Ben pomógł mu wstać. Jednemu krew leciała z nosa, drugiemu z kącików ust. Nadal patrzyli na siebie wrogo.

– Walczy pan pierwszorędnie – rzekł Ben. – Pańska siostra też. Czy to sprawa tutejszego klimatu i wody?

Jake uśmiechnął się krzywo i teraz on pierwszy wyciągnął rękę.

– Proponuję, żebyśmy przeszli na ty.

Uścisnęli sobie dłonie i podeszli do Storm, która przyjrzała się Benowi i orzekła:

– Masz złamany nos. Ben pomacał kość nosową.

– Nie pierwszy raz.

– Mnie przytrafiło się coś takiego, gdy miałem czternaście lat – pocieszył go Jake. – Spadłem z konia.

– Ja też i to wiele razy. Zgodnie weszli do środka.

– Pochodzisz ze wsi? Mieliście farmę?

– Ranczo w Wyoming. Hodowaliśmy głównie świnie, ale ojciec uwielbiał konie, więc hodował kilka wyścigowych.

– O, to ciekawe.

Obserwując ich, Storm zastanawiała się, czy mogliby zostać przyjaciółmi. Podawała im mokre gąbki. Jake otarł krwawiącą wargę, a Ben nos, ale tak niezdarnie, że krew nadal kapała na podłogę. Wzięła gąbkę i wytarła mu twarz. Mężczyźni zamilkli.

– O co chodzi? – spytała zaskoczona. Rzucił Benowi znaczące spojrzenie.

– Zdobyłeś serce mojej siostry.

– Jake!

– Ale jeśli to wykorzystasz, uduszę cię gołymi rękami.

– Jake!

– Gdybym postąpił niegodnie, byłaby to zasłużona kara – rzekł Ben z powagą.

Jake przez chwilę patrzył mu prosto w oczy, potem roześmiał się i zaczął rozmowę o hodowli bydła i trzody. Storm była wściekła. Postawiła przed bratem kubek tak gwałtownie, że

rozlała kakao.

– Nikt nie zdobył mojego serca – syknęła. Spuścił głowę i rzekł pominie:

– Ty wiesz najlepiej. Ale wyladuj złość gdzie indziej i nie wylewaj na mnie kakao.

Ben patrzył na Jake'a, na dziecko, przez okno, a od Storm uciekał wzrokiem. Domyśliła się, że odchodzi.

– Udało ci się z kimś skontaktować? – spytała niby obojętnie. Spojrzał na nią i odparł przygaszony:

– Tak.

– I co?

– Muszę wracać. Storm zapiekły oczy.

– Kiedy? – szepnęła.

Jake wpatrywał się w nią zaniepokojony, lecz nie miał odwagi się odezwać.

– Jutro mam być na lotnisku w Prince George.

– Jak się tam dostaniesz? – zainteresował się Jake. – Masz auto? Zostawiłeś gdzieś w pobliżu?

– Niezbyt blisko.

– Gdzie?

– Przy zakolu rzeki. Czy Storm wszystko ci powiedziała?

– Mniej więcej. Jaki masz samochód?

– Służbową limuzynę.

– Trzeba płacić za postój?

– Tak.

Jake zaśmiał się z cicha.

– Dostanie ci się od szefa.

– Oj, dostanie.

Storm pomyślała, że gdyby Jake i Ben poznali się bliżej, mogliby zostać przyjaciółmi.

– Wiesz, Jake, mam pomysł – powiedziała. – Ja w tej chwili nie potrzebuję koni. Możesz je wziąć, by dotrzeć do mojej furgonetki. Ben i Rockie przenocują u nas, a rano odwieziesz ich do Prince George.

– Dobrze – zgodził się Jake. – Pojutrze odprowadzę konie.

– Nie ma pośpiechu. Jest dużo innej pracy, do której nie są potrzebne.

Nie miała na myśli przygotowań związanych z sezonem. Przede wszystkim musiała uporządkować swoje sprawy i po raz drugi leczyć złamane serce.

Nie, nie po raz drugi. Uświadomiła sobie, że Dorian nie złamał jej serca. Przez niego tylko straciła zaufanie do mężczyzn, a teraz do siebie i swej intuicji. Prawdę powiedziawszy, wtedy wcale nie zawiodła intuicja, a przyczyną tragedii było to, że jej nie słuchała. Postępowała wbrew sobie, co się zemściło.

Nagle wstała.

– Przepraszam.

– Dokąd się spieszysz?

Wzruszyła ramionami. Nigdzie się nie spieszyła, ale chciała być sama. Musiała wsłuchać się w siebie, a to było niemożliwe w obecności Bena. Przy nim nie potrafiła jasno myśleć, ponieważ marzyła o pocałunkach, pieszczotach, miłości. Marzyła o tym, by mieć męża na całe życie, dwoje dzieci i dom z ogródkiem.

– Niedługo musimy jechać – rzekł Jake.

– Wobec tego się pożegnaj – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – Zegnaj, Ben. – Spojrzała gdzieś poza niego i nie zdobyła się na to, by wyciągnąć rękę. Popatrzyła na Rockiego i coś tak ścisnęło ją za gardło, że nie mogła wykrztusić słowa.

Wzięła dziecko i mocno przytuliła. Musnęła ustami pyzaty policzek, przyglądała włoski, poprawiła śpioszki. Starła się zapamiętać Rockiego na zawsze. Odsunęła go od siebie i popatrzyła na bystre ciemne oczy ocienione gęstymi rzęsami, na maleńki nos i ładnie wykrojone usta.

– Om, om.

Pomyślała, że dziecko chce wymówić jej imię, ale jeśli uwierzy, że przywiązało się do niej, jak ona do niego, rozstanie będzie jeszcze trudniejsze.

Czuła, że za moment skompromituje się, ponieważ zacznie błagać Bena, żeby odjechał sam. Chciała zatrzymać Rockiego i dać mu wszystko, co trzeba, chociaż nie wiedziała, czego dzieci

potrzebują. Tylko jedno wiedziała na pewno: to niemowlę bardziej niż inne potrzebuje miłości.

Nie mogła jednak zatrzymać Rockiego tylko dlatego, że go pokochała. Ben też go kochał. Widziała to, ilekroć na niego patrzył.

Chciała zapamiętać wyraz twarzy Bena, gdy spoglądał na niemowlę i jego surowa twarz zmieniała się pod wpływem czułości.

Posadziła Rockiego z powrotem na podłodze i prędko wyszła. Pobiegła prosto do lasu, usiadła pod drzewem na kobiercu z mchu i igliwia, ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jake ponurym wzrokiem patrzył w ślad za siostrą, więc Ben wystraszył się, że nie wyjdzie z „Przystani dla serca” żywy. Wolałby nie wdawać się w bójkę, ponieważ brat Storm był wyższy od mego i potężniej zbudowany. Jedna walka zupełnie mu wystarczyła.

– Chyba nigdy nie zrozumieję kobiet, chociaż moją siostrę i tak łatwiej zrozumieć niż inne. A ty znasz kobiety? – spytał Jake ze smutkiem.

Nie otrzymał odpowiedzi.

– Czy Storm jest ci obojętna?

– Obojętna? – powtórzył Ben głucho.

Wydawało mu się, że wyraźnie widać, iż się zakochał i nikt nie ma wątpliwości, że kamienna twarz jest maską, skrywającą burzę uczuć. Najchętniej wybiegłby, dogonił Storm i wszystko wyjaśnił. A przynajmniej podziękowałby za to, że udzieliła schronienia podejrzanemu człowiekowi, Jake patrzył na niego wyczekująco.

– Chyba czas się zbierać, prawda? – spytał Ben wystudiowanie chłodnym tonem.

– Myślę, że jesteś uczciwym człowiekiem i postępujesz przyzwoicie – orzekł Jake, nie odwracając od niego oczu, jakby starał się wyczytać coś pod maską.

Ben zrozumiał to jako niezасłużoną pochwałę. Bo co to znaczy „przyzwoicie postępować”? Wobec kogo? Wobec Storm, dziecka czy siebie? Czy można postępować przyzwoicie, gdy rani się czyjeś serce?

Najlepiej byłoby prędko odjechać i powrócić do obranego trybu życia. Być może za tydzień przyjmie kolejne zlecenie i znajdzie się daleko od „Przystani dla serca”. Tym razem taka perspektywa go nie pociągała. Dlaczego? Może powinien postąpić inaczej? Może wybierał łatwe rozwiązanie, które zapewnia ład i panowanie nad sytuacją?

A może postąpi słusznie, jeśli zachowa się inaczej niż dotychczas, posłucha głosu serca i wreszcie wypełni pustkę

samotności? Nie opuszczała go myśl o zwykłym prostym życiu; chciał mieszkać na wsi, pracować fizycznie, mieć rodzinę i dom, konie i bydło. Ale czy w prostym życiu jest więcej miejsca dla kobiety i dziecka?

– Nie martw się, wszystko dobrze się ułoży – powiedział Jake, klepiąc go po ramieniu.

Niewątpliwie chciał dodać mu otuchy, lecz jego gest sprawił, że Ben zobaczył wszystkie gwiazdy.

Dość prędko spakowali rzeczy. Mieli tylko jedno siodło, ale Jake był przyzwyczajony do jazdy na oklep. Ben wskoczył na konia i wziął od Jake'a Rockiego. Jedną ręką objął dziecko, a w drugą ujął lejce.

– Może odprowadzę konie nawet jutro – rzekł Jake. – Muszę pomóc Storm, bo tu jest za dużo roboty dla kobiety, w dodatku takiej delikatnej. Ale ten uparciuch nie przyznaje mi racji.

– Twoja siostra nie lubi przyznawać się, że czegoś nie potrafi. Zauważyłem to.

Odsuwał od siebie myśl o tym, że Storm zostaje sama.

Przykro mu było, że ucieka przed sobą. Chciał odjechać jak bohater westernów, nie oglądając się za siebie.

Mimo to obejrzał się i jego wzrok padł na tabliczkę z napisem „Przystań dla serca”. Dziwnie zapiekły go oczy. Poczuli się, jakby przedtem był ślepy, a teraz odzyskał wzrok, ponieważ na świat spłynął osobliwy blask. Ogarnął go niewysłowiony żal za tym, co traci, a jednocześnie rozżłościł się, że ulega sentymentalnym uczuciom.

Powtarzał sobie, że wyjeżdża w ostatniej chwili. Jeszcze kilka dni tutaj i jego uporządkowany świat zmieniłby się diametralnie.

Wracał do starego trybu życia, i to było słuszne. Czy naprawdę choćby przez moment chciał zrezygnować z fascynującej pracy pełnej niebezpiecznych przygód? To nic, że czasami nudził się i doskwierała mu samotność.

Często był świadkiem, jak giną niewinni ludzie. Czy nie dość się napatrzył jeszcze przed śmiercią Noela? Chyba zrobił, co mógł, by naprawić świat? W głębi serca czuł, że niewiele się

udało. Może takie zadanie trzeba zostawić innym? Młodym idealistom?

Zastanowił się, czym wypełni czas, jeśli rzuci pracę. Czy wspólnie ze Storm będzie organizował wczasy w siodle? Co będzie robił całymi dniami w górach? Domowe obowiązki chyba nie mogą wypełnić człowiekowi czasu?

– Tracimy sąsiadów – odezwał się Jake – bo gospodarstwo obok nas wystawiono na sprzedaż.

Benowi przemknęła myśl, że w słowach brata Storm jest ukryte znaczenie, więc zapytał pozornie obojętnie:

– Zrujnowane?

– Nie, doskonale utrzymane, ale obecni właściciele się zestarzelili, a ich dzieci tu nie wrócą, bo odstrasza je ciężka praca. Trzeba być twardym, żeby wyżyć z tej jałowej ziemi. Petersonowie szukają kupca, który weźmie wszystko: ziemię, bydło, sprzęt.

– Ciekawa oferta.

Powiedział to tak twardym i zimnym tonem, że Jake spojrzał na niego zdziwiony i przestał się odzywać.

Rockie gaworzył, ciągnął konia za grzywę, próbował gryźć siodło. W pewnej chwili zauważył wiewiórkę i zaczął tak gwałtownie wymachiwać rączkami, że byłby wypadł z siodła, Ben objął go mocniej.

– Wiewiórka – wyjaśnił. – To wiewiórka.

Wszystko wydawało się proste, chociaż wcale takie nie było, odkąd w jego życiu pojawiła się miłość. Podejrzewał, że już nigdy jego serce nie będzie obojętne, ponieważ w ciągu kilku dni zmienił się prawie nie do poznania.

– Wcale się nie zmieniłem – mruknął pod nosem.

– Co powiedziałaś? – zawołał Jake.

– Nic.

Zirytował się, że znowu mówi sam do siebie.

U podnóża góry stała stara furgonetka, którą Jake uruchomił z wielkim trudem. Ben ukradkiem wyjął z plecaka dziecięce adidas i przyczepił koło lusterka.

– Po co je wieszasz? – zdziwił się Jake. – Co to znaczy?

– Wygrana w pokera – skłamał Ben.

Nie mógł się przyznać, że chce, aby Storm ich pamiętała, aby czasem wspomniała wędrowca z dzieckiem w plecaku.

Jałowa, według Jake'a, okolica jemu wydała się nieprawdopodobnie piękna. Jechali wśród wzgórz pokrytych drzewami, na pastwiskach rosła piękna trawa i pasło się dorodne bydło, na horyzoncie wznosiły się góry.

Długo jechali wyboistymi drogami, aż wreszcie dotarli do Taylor Ranch. Wyglądało tu tak, jakby od niepamiętnych czasów nic nie zmieniano. Obory były stare, drewniane, piętrowy dom też był drewniany. W oknach wisiały zazdrostki w kratkę.

Wzdłuż podjazdu ciągnęły się grządki z barwnymi kwiatami. Ben oczami wyobraźni ujrzał Storm pochyloną nad ziemią; kwiaty były jedynym śladem kobiecej ręki w tym typowo męskim gospodarstwie. Ben widział w życiu setki grządek, więc nie rozumiał, dlaczego na widok tych coś ściska go w gardle.

Dom urządzono bardziej z myślą o funkcjonalności niż pod kątem estetyki, ale wszędzie było znać rękę Storm. O jej wkładzie świadczył kolorowy kilim na ścianie, bukiet suszonych kwiatów w glinianym dzbanie na stoliku, pasiasty chodnik na podłodze.

Wszedł Evan. Był podobny do siostry, ponieważ miał ciemne włosy i błękitne oczy, ale z usposobienia przypominał brata, ponieważ był małomówny.

Po powitaniu zeszli do piwnicy, skąd przynieśli kojec.

– Nie tak dawno temu Storm w nim siedziała. – W głosie Evana czuło się miłość do siostry. – Będziesz nocował w jej pokoju.

– Prześpię się na kanapie w kuchni.

– Czemu masz się gnieść na kanapie, skoro jest wygodne łóżko?

Nie przyznał się, że wolałby nie spać w łóżku Storm i nie oglądać jej pokoju.

Gospodarze przygotowali obfitą wieczerzę, podobną do posiłków, jakie jadał w rodzinnym domu. Po kolacji pomógł im napoić bydło. Doskonale czuł się podczas milczącej krzątaniny,

praca mięśni sprawiała mu przyjemność. Miał wrażenie, że naprawdę żyje.

Wreszcie musiał pójść do pokoju Storm. Przewinął Rockiego i włożył do kojca. Dziecko natychmiast zasnęło, a jemu wcale nie chciało się spać, więc się rozejrzał, chociaż wolałby nic nie widzieć. Pokój był skromny, jak jego właścicielka. Nie było tu kryształowych flakoników z perfumami ani porcelanowego puzderka z biżuterią. Ciekawe, czy Storm rzeczywiście nie lubi takich drobiazgów, czy tylko udaje.

Ściany zdobiło kilka zdjęć Storm w różnym wieku. Jedno ukazywało roześmianą szczerbatą dziewczynkę z mysimi ogonkami, na drugim trzymała szopa, a na trzecim obejmowała za szyję kucyka.

Podszedł do toaletki, na której leżały porządnie ułożone szczotki do włosów. Za ramą lustra były zatknięte fotografie braci. Nigdzie nie widział zdjęć kolegów, co bardzo go ucieszyło, chociaż nie pojmował dlaczego. Nie mogąc poskromić ciekawości, otworzył pierwszą lepszą szufladę i wyjął krótką spódniczkę. Zrobiło mu się gorąco, więc prędko włożył spódniczkę z powrotem i zamknął szufladę.

Rozebrał się, położył do łóżka i wciągnął w nozdrza zapach przypominający Storm. Nie mógł zasnąć, ale wmawiał sobie, że to z powodu chrapania dziecka, a nie z powodu zapachu poduszki oraz niepokojących marzeń. Rozmyślając o Storm, żałował, że nie dowie się, jaka naprawdę jest. Długo przewracał się z boku na bok, ale w końcu zmorzył go sen.

Rano wziął gorący prysznic, prędko się ubrał, przewinął dziecko i zszedł na dół. Po sutym śniadaniu Jake znalazł w komórcie stare krzeselko dla dziecka, które przymocowali na tylnym siedzeniu. Evan ofiarował się, że odwiezie gościa. Do Prince George było daleko, ale szosy dobre. W drodze Ben zastanawiał się, dlaczego mimo tylu podróży po świecie dopiero teraz znalazł idealną kobietę. Może to cud?

Jack Day czekał na niego w towarzystwie osoby w średnim wieku, którą przedstawił jako pielęgniarkę i opiekunkę społeczną.

Kobieta nie przypadła Benowi do gustu, ponieważ wyglądała jak surowa przełożona w szpitalu.

– Ty masz wracać do bazy, a pani Jenkins zawiezie dziecko do Cressady – oznajmił Jack.

Gdy pielęgniarka wyciągnęła ręce po dziecko, Ben mocniej je przytulił. Zdezorientowana pani Jenkins spojrzała na Jacka.

– No, stary, pożegnaj się z dzieckiem.

– Sam zawiozę Rockiego do Cressady – niespodziewanie zdecydował Ben.

– Słucham? – zdziwił się Jack.

– Ja go odwiozę.

– To nie jest konieczne. Pani Jenkins ma wysokie kwalifikacje Prawda?

Pielęgniarka wymieniła swe tytuły zawodowe i ukończone kursy. Brzmiało to imponująco, ale dziecku nie są potrzebne tytuły, lecz miłość. I ktoś, kto zrozumie jego „be, be” i zaśpiewa, aby nakłonić do zjedzenia okropnej papki. Ben znał się na ludziach i wiedział, że pani Jenkins nie jest osobą odpowiednią dla Rockiego. Patrzyła na dziecko obojętnie, wręcz zimno. W jej spojrzeniu nie było ani krzty ciepła. Nie miał wątpliwości, że bez dyskusji wykona wszystkie polecenia, nie zastanawiając się, czy są w interesie dziecka.

– Czy znaleziono dla Rockiego jakieś bezpieczne miejsce w Cressadzie? – pytał.

– Nie wiem. Pani Jenkins wszystkim się zajmie. Co to nas obchodzi?

„Co to nas obchodzi”? Ben spojrzał zaskoczony, że przyjaciel tak się zmienił. Jak można powiedzieć, że dziecko nikogo nie obchodzi? Jakby to nie był mały człowiek, lecz rzecz.

– Może ciebie nie obchodzi, ale mnie bardzo – rzekł stanowczo.

– Człowieku, zastanów się, co mówisz. W naszym zawodzie, a szczególnie w tej sprawie, to niezbyt bezpieczne.

– Wiesz, co jest najbardziej niebezpieczne? – łagodnie zapytał Ben.

– No, co?

– Iść przez życie, nie interesując się losem bliźnich. Jack patrzył na przyjaciela z niedowierzaniem.

– Gdzieś ty był? Na Księżycu?

– Nie, na ziemi... Mogę dostać bilet pani Jenkins?

Wiedział, co zrobi. Polecą do Cressady i poszuka odpowiedniego miejsca dla Rockiego. Nie odda dziecka do sierocińca, lecz zapewni mu prawdziwy dom. Dzięki Noelowi Eastowi poznał wspaniałych ludzi, więc nie wątpił, że znajdzie kogoś, komu będzie mógł powierzyć jego syna.

Po załatwieniu zmiany rezerwacji, zwrócił się do Jacka:

– Możesz mi pożyczyć trochę pieniędzy? Ostatnią dziesiątkę przegrałem w pokera.

– O? Mówiłeś, że jedziesz do pustego domku.

– Okazało się, że nie jest pusty. Widocznie niebiosy miały dla mnie inne plany.

– Niebiosy?

Jak inaczej ocenić to, że człowiek wyrzekający się uczuć otrzymuje je w darze? Dotarł do przepięknej okolicy i tam znalazł miłość. Spotkał kobietę, która go potrzebuje i która jemu jest potrzebna. Co innego mogłoby ukazać mu, że jego dotychczasowe rzekomo pełne życie było nijakie i niewiele warte? Uważał, że nie zrobił nic, by zasłużyć na miłość, którą tak niespodziewanie znalazł.

– Co się z tobą dzieje? – dopytywał się Jack.

– Chyba znalazłem... niebo.

– Chyba zwariowałeś.

Zapowiedziano samolot do Cressady. Ben założył plecak, wziął dziecko pod pachę i pożegnał przyjaciela.

Storm siedziała w fotelu na biegunach, obserwowała znikające za górami słońce i słuchała rżenia Sama.

Minęło dziesięć dni, od chwili gdy z ukrycia obserwowała odjazd Bena i Rockiego. Nie pokazała im się z obawy, że znowu wybuchnie płaczem. Nie ruszyła się z miejsca, chociaż, bała się, że Ben o czymś zapomniał, może nie zabrał misia. Widziała, jak odwrócił się i patrzył na tabliczkę z napisem „Przystań dla serca”.

W jego twarzy wyczytała coś, czego on chyba jeszcze sobie nie uświadamiał.

Jego oczy mówiły, że wróci. Nie wiedziała kiedy, ale była pewna, że serce doprowadzi go z powrotem do niej.

Początkowo myślała, że gdy Ben wyjedzie, ogarnie ją bezbrzeżny smutek, lecz nic takiego się nie stało. Bała się, że po jego odjeździe poczuje się osamotniona i biedna, a tymczasem czuła się wzbogacona. Jak gdyby jej świat się rozszerzył i wypełnił. Zmieniła się pod wpływem miłości do Bena i Rockiego i nareszcie zrozumiała, że nie należy się bać uczuć. Ani siebie.

Znowu nauczyła się słuchać serca. W Edmonton zagłuszył je hałas miasta i dlatego nie słyszała ostrzeżeń. A już po pierwszym spotkaniu intuicja podpowiadała, że Dorian nie jest dobrym człowiekiem. Nie rozumiała, dlaczego odezwał się grubiańsko do szatniarki w teatrze, ale go usprawiedliwiła. Potem skłamał; powiedział kelnerce, że ma urodziny, ponieważ chciał wyłudzić bezpłatny kieliszek wina. Była młoda i naiwna, więc i tym razem go wytłumaczyła. Sądziła, że tak zachowują się obyci mieszkańcy miast Ben też ją okłamał, lecz jego kłamstwo było inne, ponieważ nie myślał o sobie. Skłamał w trosce o bezpieczeństwo jej i dziecka. Widocznie są dobre i złe kłamstwa, usprawiedliwione i nieusprawiedliwione.

Intuicja, której znowu słuchała, mówiła jej, że Ben jest drugą połową, której szukała. I nie zmieni tego ani czas, ani odległość.

Była ciekawa, co Ben zadecyduje w sprawie Rockiego. Nie przyznał się do uczucia, starał się ukryć fakt, że pokochał niemowlę, ale wierzyła, że postąpi właściwie. Na pewno nie zostawi Rockiego, póki nie będzie miał pewności, że chłopiec jest bezpieczny, szczęśliwy i kochany.

Przed tygodniem wyjechała na jeden dzień i wtedy znalazła adidasy, które potraktowała jako obietnicę powrotu. Odwiedziła braci, uzupełniła zapasy, zadzwoniła do wczasowiczów. Przejeżdżając obok sąsiadów, przypomniała sobie dawne ciche marzenie, aby mieć to właśnie ranczo. Teraz nawet nie zrobiło się jej przykro, że jest na sprzedaż. Zastanawiała się, czy takie

nierealne marzenie mogłoby się spełnić.

W lesie trzasnęła gałązka.

To był znak, że jest obserwowana. Udawała, że nic nie słyszała i nadal niedbale kołysała się w fotelu. Nie przestraszyła się, ponieważ miała w zasięgu ręki dubeltówkę i domyślała się, kto ją obserwuje. Serce zaczęło jej mocniej bić.

– Lepiej od razu wyjdź. Wiem, że tam jesteś.

Na polanę wjechał koń z jeźdźcem. Tym jeźdźcem był Ben McKinnon.

– Spłoszyłaś mojego konia – zawołał z wyrzutem, ale był uśmiechnięty.

Zza jego pleców wyjrzały czarne oczka. Rockie poznał Storm, wyciągnął rączki i uśmiechnął się, a wtedy poczuła, jakby była w raju.

– Przecież to nie twój koń, lecz naszych sąsiadów. Slewfoot Petersonów.

– Slewfoot! Takie imię obraża szlachetne zwierzę. Trzeba was nauczyć, jak nazywać konie.

– Wróciłeś, żeby nas uczyć?

– Owszem. Tego konia nazwałbym... Jasper Drugi.

– Zbyt piękne imię dla starej kobyły.

– Wypluj te słowa.

– A jeśli nie posłucham?

– Pożałujesz, gdy spadnie śnieg.

– Och, to nastąpi dopiero w listopadzie.

– Poczekam.

Z bijącym sercem patrzyła, jak zsiada. Wstała i szła ku niemu wolno, ale gdy się odwrócił i zobaczyła wyraz jego oczu, rzuciła się biegiem. Pochwycił ją w ramiona i zaczął kręcić się w kółko, śmiejąc się i całując ją.

Naprawdę była w raju.

Rockie przyglądał im się z powagą, – Uważaj na dziecko! Jak dobrze, że Rockie też przyjechał – zawołała uszczęśliwiona.

Odwiązała niemowlę, przytuliła je i rozplakała się z radości, że życie jest takie piękne.

Ben objął oboje i tak stali, aż poczuli chłód nocy. Odprowadzili konia, weszli do domu i usiedli przy stole.

– Pani Jenkins nie podobała mi się, więc sam zawiozłem Rockiego do Cressady – opowiadał Ben. – Wiem, jakie tam są sierocińce, więc nie mogłem zdradzić Noela i jego syna. Po prostu nie miałem sumienia. Zacząłem kontaktować się z różnymi znajomymi Noela, żeby wśród nich znaleźć kogoś, kto pokocha Rockiego. Po tygodniu poszukiwań zrozumiałem, że nikt nie pokocha go bardziej niż ja. Wobec tego zająłem się formalnościami związanymi z adopcją. Trafiłem na życzliwego urzędnika, który obiecał skrócić procedurę, więc za kilka tygodni Rockie oficjalnie będzie mój.

– Twój?

~ Niezupełnie.

– Jak to, niezupełnie?

– Będzie nasz.

– Aha. Uprzedzam, że jeśli mam mieć dziecko, moi bracia zażądają ślubu. Gotowi wziąć cię na muszkę...

– Co za maniery. Ktoś powinien was pouczyć...

– Ty? – przerwała mu.

– Może ja. Zacznę od ciebie.

– Kiedy? Zaraz?

– Proszę bardzo. Od czego zaczynamy? Położyła palec na ustach.

– Pierwsza lekcja tutaj.

– No wiesz? Przy dziecku?

– Przecież śpi, – Nie jesteśmy oficjalnie zaręczeni.

– Musisz mieć zezwolenie na papierze?

– Zanim pannę pocałuję, chcę wiedzieć, czy za mnie wyjdzie.

– Oczywiście, że wyjdę. Już ci mówiłam.

– Uwaga! Teraz nastąpi wyznanie miłości. Będą staroświeckie oświadczyńy. I prezent zaręczynowy.

– Wystarczy pocałunek, – Wstydz się. Już mnie chyba trochę znasz.

– Trochę? Wiem o tobie wszystko.

– Doprawdy? Po czterech dniach znajomości?

– Wystarczy. Wiem, co jest w twoich oczach, gdy patrzysz na Rockiego i na mnie. Wiem, co kryje się w twojej duszy. Czego jeszcze trzeba?

– Powinnaś wiedzieć, że przestałem pracować w agencji.

– Żałujesz?

– Nie, ulżyło mi.

– Jeszcze coś? – spytała, przymykając oczy.

– Chcesz się całować, zanim się dowiesz, jak będę zarabiać na życie?

– Nie interesują mnie drobiazgi.

– To drobiazg?

Pocałowała go i zalotnie spytała:

– No, i co? Tamto nie drobiazg?

– Wszystko błędnie w porównaniu z twoimi ustami.

– A widzisz.

– Jeszcze tylko jeden drobiazg, dobrze?

– Byle szybko.

Wyciągnęła z kieszeni kartkę papieru.

– Proszę, oto ten drobiazg.

Był to dowód kupna rancza Petersonów.

– Och, Ben! – szepnęła wzruszona.

– To chcę robić. Jedną część serca zostawiłem na naszym ranczu, a drugą tutaj. Nie, to niezupełnie prawda.

– A jaka jest prawda?

– Ze całe moje serce należy do ciebie. – Rozejrzał się rozpromienionym wzrokiem. – Jestem szczęśliwy.

– Życie nie mogłoby dać nam nic piękniejszego, prawda?

– Chyba ma jeszcze w zanadrzu to i owo.

– Jesteś całym moim światem – powiedziała przytłumionym głosem. – Położę Reckiego, a potem wiesz, co będzie?

– Co, kochanie?

– Lekcja całowania.

Obserwował ją, gdy kładła dziecko, a potem odwróciła się i popatrzyła na niego oczami pełnymi miłości.

Pomyślał, że tak będzie codziennie, z każdym dniem piękniej.
Będzie czuł smak jej ust, widział światło w jej oczach.

Rozłożył ręce. Storm przytuliła się do piersi Bena i wsłuchiwała
w bicie jego serca.

Oboje znaleźli przystań, a w niej spokój, szczęście i miłość.